TYGODNIK ŁÓDZKI

Rok VI
Łódź, 14. VII. 63.
Nr 28 (280)
Cena zł 1.—

odgłosy

TEN NUMER WARTO KUPIĆ PRZECZYTAĆ!

RAFAŁ ORLEWSKI

Refleksje zmęczonego

„Co robisz ze swoim wolnym czasem?" Pytanie, które prowokuje do zwierzeń nie tylko na temat zasadniczy, jest także okazją do refleksji nad tzw. wolnym czasem. Czas wolny? Pojęcie względne, czas wolny mają przede wszystkim ci, co nic nie robią, ściślej — którzy nic nie robią poza pracą zawodową.

Jestem nauczycielem. Mieszkam i pracuję w Kolumnie, osiedlu robotniczo-wczasowym pod Łodzią. Środowisko tu jest typowe pod względem małomiasteczkowej mentalności i specyficzne — gdy chodzi o socjo-geografię pochodzenia mieszkańców. Nie wiem, czy bardziej zróżnicowaną „zbieraninę" gdzieś się znajdzie. Dawni mieszkańcy Kresów, reemigranci z Ziem Zachodnich, łodzianie, urodzeni kolumnianie... trudno wprost to sprawdzić. Większość — robotnicy łódzkich i podłódzkich fabryk, ale nie brak inteligencji, są mniejszości narodowe, rodziny „normalne" i rodziny „w rozkładzie", kilka wyznań, choć jeden oficjalny kościół katolików, mieszczący się w adaptowanym budynku poniemieckiego kina. Nauczyciele, lekarze, oficerowie, pracownicy państwowi i prywatni, kilkunastu rolników, właściciele zakładów rzemieślniczych i usługowych oraz cukierni, i restauracji, mnóstwo dzieci i młodzieży — uczącej się wg przykazań rodziców i ducha czasu, i tzw. złotej młodzieży.

Liczba mieszkańców około 5 tys. W okresie letnim ilość mieszkańców się podwaja. Wczasy matki z dzieckiem, rodzinne (te pierwsze są solą w oku strażniczek moralności), kolonie dziecięce, weekendy, wczasy „pod sosną", letnicy.

Tych ostatnich coraz mniej, nie tylko z powodu drogich stosunkowo opłat za wynajęte pokoje. Kolumna traci na atrakcyjności, bo stoi w miejscu. Nie rozwija się kulturalnie i rozrywkowo. Las, tylko sam las powszednieje, a ten kolumieński, rzednie gwałtownie: kwitnie budownictwo indywidualne. Brzydkie architektonicznie domki stawia się na ogrodzonych siatką placach, a sosny wykarczowuje, bo — jakiż to domek bez podwórka? Łysieje więc Kolumna i brzydnie, obiekty kulturalne przestały działać, kino remontuje się dwa lata, świetlica osiedlowa oddana we władanie młodzieży straszy brudem, połamanymi krzesłami, kurzem i... chuliganerią, która okupuje wieczorem salę.

Rada osiedla, gospodarze terenu mają tyle zajęć, tyle problemów, zawsze ważniejszych od spraw kultury... Pracująca wytrwale od 1959 r. ZMS-owska estradka poezji i piosenki „Grabia 59" nie była w stanie doprowadzić świetlicy do stanu kulturalnej używalności, a miejscowych władz nie wzruszyły nawet sukcesy artystyczne zespołu: czołowe miejsce w wojewódzkich eliminacjach piosenkarskich, w konkursie recytatorskim, kilkadziesiąt występów na odbywających się w Kolumnie kursach ZMW i ZMS, na wczasach, na akademiach i ogólnych — dla społeczeństwa osiedla. „Robicie coś? To dobrze. Róbcie. My wam pomożemy". I nikt nie pomógł. Byłem organizatorem estradki, razem z jej najwierniejszymi wykonawcami przeszedłem wszystkie tarapaty amatorskiego teatrzyku bez opieki, nie mogłem młodych i ambitnych ludzi pozbawiać tego, do czego się przywiązali, czego potrzebę odczuwali. W roku ubiegłym zwróciłem się do miej-

Dalszy ciąg na str. 5

TADEUSZ SŁUPECKI

Podróż do krainy VARIETÉ

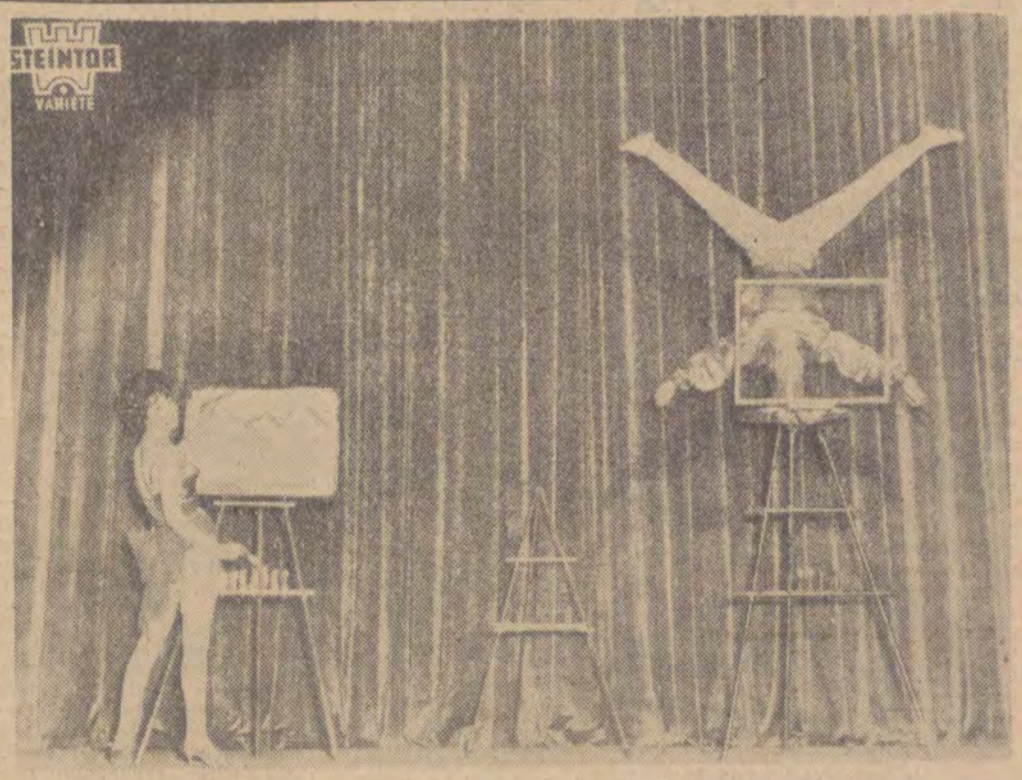

Była to trochę dziwna podróż. Niby służbowa, a wypełniona — i to gratis — gatunkiem uciech, za które inni musieli nieźle płacić. Krótko mówiąc, wiosną 1963 roku bawiłem ponad dwa tygodnie w Niemieckiej Republice Demokratycznej, aby zapoznać się z tym, co pokazuje się na tamtejszych estradach.

Pierwszego dnia, na dworcu w Berlinie wschodnim, oczekuje nas dyr. Brandes z Deutsche Künstler-Agentur (odpowiednik Polskiej Agencji Artystycznej). Taksówkami odwozi nas do hotelu, gdzie otrzymujemy „rozkład zajęć". Wszystko wypisane na maszynie i oprawione w skoroszyty, z niemiecką pedanterią, ale bardzo przyjemną. Nasza grupka estradowców polskich, m. in. dyr. Jakubowski z „PAGART" i dyr. Estrady Łódzkiej, T. Sutt, reprezentuje tu Polskę na przeglądzie artystów estradowych z całej NRD. Oprócz nas są tu przedstawiciele wszystkich krajów socjalistycznych, z krajów neutralnych — Szwedzi, Finowie i jeden sympatyczny Austriak.

Ten Austriak stał się nam, Polakom, sympatyczny ze szczególnej przyczyny. I to już następnej nocy, podczas której dowiedliśmy po raz tysiączny w historii przewagi polskiej fantazji i brawury. Byliśmy w nocnym „Tanzkabarett Melodie" po paru kieliszkach wina i po programie kabaretowym ze szczególnie ładną artystką grającą na ksylofonie. Ktoś z Polaków uniósł się honorem i zaprosił ksylofonistkę z całą grupą wielbicieli do bufetu na szampana. Ktoś inny — oczywiście, także Polak — w ciągu kwadransa omal co nie rozkochał się w dziewczynie z wzajemnością. I kiedy dystyngowany Austriak, próbujący także szczęścia u ksylofonistki, pocałował ją w dłoń z szarmancką uwagą, że „pocałunek w dłoń, to wynalazek austriacki" — polska kontrakcja była błyskawiczna i zaskakująca. Objęcie dziewczyny w pół, pocałunek w usta i odpowiedź godna Sobieskiego pod Wiedniem.

— A pocałunek w usta, proszę pana, to p o l s k i wynalazek.

Dalszy ciąg na str. 2

NIEZNANY OBYWATEL

Nie znam osobiście tego człowieka. Spotykamy się codziennie na przystanku tramwajowym. Wiem, że czeka na „dziesiątkę", wiem, że jedzie na Widzew, ma zawsze przy sobie tę samą teczkę zrobioną ze sztucznego tworzywa, szarożółtą, kiedyś zapewne miała żywsze kolory, wiem i to jeszcze, że człowiek ten utyka na jedną nogę, być może, że jest inwalidą wojennym, a może przypadek przyprawił go o to kalectwo. Cóż więcej wiem o tym człowieku? Nosi ubranie w kolorze zielonkawym, z elany, już mocno podniszczone, takie ubrania nosi się na codzień, do pracy. Przypuszczam jeszcze, że człowiek ten pracuje w biurze, jego kalectwo wskazuje na to, że musi się zajmować raczej pracą biurową, jednak dziwna rzecz, wiążę go z zakładem produkcyjnym (nie wiem dlaczego, bo przecież równie dobrze mógłby pracować na przykład w administracji terenowej), ale ponieważ jeździ na Widzew, więc (przypuszczam) pracuje w tamtejszych zakładach.

Nie znam osobiście tego człowieka, ale zżyłem się z nim, przyzwyczaiłem się do jego obecności. I kiedy pewnego dnia nie spotkałem go, jak zwykle, na przystanku, odczułem zawód, ulica wydała mi się pusta. Dopiero po tygodniu (w ciągu tych dni, kiedy się nie zjawiał, byłem niespokojny) spotkałem go znowu. Ulica nabrała swojego normalnego wyglądu. Mimo woli ukłoniłem się temu człowiekowi. Oddał mi ukłon z miną, która świadczyła, że i ja nie jestem mu obcy.

Więc, powtarzam, nie znam tego człowieka, (choć już teraz wymieniamy ukłony), nie wiem jak się nazywa, gdzie mieszka, gdzie pracuje. Może się nazywa Nowak, może Kowalski, może Matysiak. Należy do tych ludzi, których spotyka się codziennie, jadących do pracy i wracających po pracy do domu, których spotyka się w kinie, w teatrze. Należy do tych ludzi, których nie pomijają reportażyści, z którymi czasami robi się wywiady. O Nowaku się pisze, Nowaka czasami się gani, czasami chwali, z Nowaka bierze się wzór. Nowaka się naśladuje. O Matysiaku również się pisze i również się go naśladuje. Za modą na Nowaka, Matysiaka i Kowalskiego kryje się więź z określoną tradycją społeczną. Za modą na Nowaka kryje się określona postawa ideowa. Życie Nowaków i Matysiaków, ich troski i radości, sukcesy i upadki, praca i odpoczynek, ich codzienne uczciwe, trudne życie stanowi o tym, co nazywamy „podstawową tematyką".

Jest to tematyka bogata i pełna treści. Jest to tematyka dnia kolejarza, hutnika, włókniarki; tematyka chłopa pilnującego plonów na polu, tysięcy cichych bohaterów pracy, tysięcy Nowaków, Kowalskich i Matysiaków, których nieoceniona rola społeczna, jak mówił na ostatnim Plenum tow. Gomułka, „jest nazbyt często niedostrzegana i pomijana przez naszą prasę", a którzy swym rzetelnym, uczciwym trudem dla kraju tworzą co dzień wzory odpowiadające ideom wychowawczym partii.

Ten „nieznany człowiek", pan Nowak, pan Kowalski, pan Matysiak, był do niedawna nazywany przez niektórych krytyków pogardliwym mianem „homo oeconomicus". Jeżeli się pojawił na kartach powieści zarzucano mu, jakże często, że jego portret duchowy sprowadzał się do kilku schematycznych kresek. Ale Kowalski wykonuje swój zawód z największą sumiennością. Tysiące Kowalskich boryka się z różnymi trudnościami, Kowalscy i Matysiakowie cierpią, kochają, dojrzewają. Życie daje im nieraz konflikty o wiele przerastające ich doświadczenie, jednak oni, nie przestając być zwykłymi, „szarymi" pracownikami, robotnikami, których ledwie się dostrzega na ulicy, stają się często bohaterami wielkich wydarzeń. Tow. Gomułka pokwitował postawę tych „szarych" obywateli, kiedy mówił, że w ciągu ostatniego okresu „od pierwszych najtrudniejszych lat odbudowy naszej gospodarki, naszych miast, naszych szkół z ruin wojennych, wytwarzał się i rozwijał wśród klasy robotniczej, wśród równo formujących się załóg i kolektywów pracowniczych, duch ofiarności, dyscypliny i socjalistycznego patriotyzmu. Ożywia on dziś szerokie kręgi naszego społeczeństwa, znajduje wyraz co dzień w postawie setek tysięcy robotników, techników, inżynierów, nauczycieli, lekarzy...".

Poznawanie życia „nieznanego" obywatela, ukazywanie jego pracy, jego wysiłków, jego dojrzewania — pokwitowanie „pracy i dni" społeczeństwa polskiego uchwyconego w najciekawszym momencie jego rozwoju — czy nie należy — jak wskazuje partia — do palących zadań współczesnego pisarza i publicysty?

TADEUSZ PAPIER

Podróż do krainy Varieté

Dalszy ciąg ze str. 1

Ale zanim doszło do tej nowej, w obecności Austriaków odniesionej polskiej victorii, musieliśmy w ciągu półtora dnia uczciwie odsiedzieć 4 długie programy estradowe i jedną powitalną konferencję. W ogóle, nadmiar zajęć i wrażeń, stępiający w końcu wrażliwość widza nawet na dobre numery estradowe, był jedynym mankamentem tej sprawnie poza tym zorganizowanej imprezy — berlińskiego przeglądu estrady niemieckiej. Sprawa kontaktów ze światem dla artystów NRD jest tym ważniejsza, że od dnia 13 sierpnia 1961 roku, tj. od dnia wzniesienia muru granicznego wokół Berlina zachodniego, NRF i świat kapitalistyczny stosują wobec NRD rodzaj kulturalnej blokady. Było wiele trudności z przełamaniem tej izolacji, zwłaszcza że artystom z krajów kapitalistycznych, którzy chcieli występować w NRD, ordynarnie zagrożono wstrzymaniem wszelkich występów w krajach zachodnich. Ale ostatecznie kulturalna izolacja NRD się nie udała. Przede wszystkim kraje socjalistyczne — ZSRR, CSRS, Bułgaria, Rumunia i inne — wzmogły znacznie po roku 1961 znikomą dawniej wymianę artystyczną z NRD. Z Polski, dla przykładu, na gościnnych występach bawił tam w ostatnich latach Teatr Pantonimy z Wrocławia, grupa baletowa z Opery Gdańskiej, artyści tej klasy co H. Czerny-Stefańska, W. Wilkomirska B. Sokorska, W. Jakubowska, znana dobrze w Łodzi śpiewaczka operowa Z. Rudnicka, wreszcie spora ilość artystów cyrkowych oraz estradowych zespołów jazzowych. Kraje neutralne — Szwecja, Austria, Finlandia również nie zaniechały normalnych kontaktów kulturalnych. Ba — wielu artystów z krajów zachodnich nadal sobie ceni wyrobioną publiczność wschodnio-niemiecką i nadal tam koncertuje. Przez 3 miesiące występował tu balet afrykański z Gwinei, aktualnie bawiła akurat francuska rewia na lodzie „Paris sur glace". I odwrotnie — artyści NRD wyjeżdżają na występy do krajów socjalistycznych i neutralnych.

* * *

W ciągu tygodnia spędzonego w Berlinie demokratycznym, obejrzeliśmy także oprócz szeregu pokazów artystów estradowych — bo przegląd berliński miał zapoznać gości zagranicznych nie tyle z gotowymi programami ile z poszczególnymi solistami i ich repertuarem — dorobek berlińskiej telewizji oraz kilka przedstawień teatralnych.

Telewizja berlińska na specjalnym pokazie w swoim studio zaprezentowała 5 archiwalnych filmów. Były to utrwalone na taśmie filmowej ciekawsze audycje berlińskiej estrady telewizyjnej, na ogół udane i bogatsze w pomysły niż zbliżone audycje polskiej TV. Pochodziły one jednak z przed paru lat, ze świetniejszego widać okresu berlińskich teletwórców, ponieważ bardzo w NRD popularna audycja telewizyjna „Da lacht der Bär", oglądana przez nas „na żywca" w sali Friedrichstadtpalastu w czasie jej nadawania na telewizory, bardzo nas rozczarowała. Słabe teksty satyryczne, brak koncepcji i pomysłów reżyserskich, mierne wykonawstwo części solistów, obracanie się w kręgu garstki tych samych popularnych aktorów — z tej gliny nigdzie nie da się ulepić sensownej estrady telewizyjnej. Co gorsza, berlińczycy narzekają na tę audycję i w ogóle na swoją telewizję już od dłuższego czasu. Udział artystów zagranicznych — w widzianej przez nas audycji brała m. in. udział znana śpiewaczka polska, Z. Rudnicka — sytuacji uratować nie może.

Bardzo natomiast udanym spektaklem było widowisko baletowe pt. „Der Tanz im Wandel der Zeit", wystawione w berlińskim Varieté, słynnym Friedrichstadtpalast. Jest to historia rozwoju tańca na przestrzeni wieków — naprawdę uroczy, ciekawy i pomysłowy program, świetnie wykonywany przez świetny balet berlińskiego Friedrichstadtpalasta, toteż dobrze się stało, że PAGART zamierza go latem 1964 roku pokazać na miesięcznym turnee po Polsce, m. in. i w Łodzi. Wieczór spędzony w Operze Komicznej na „Zaczarowanym flecie", pogodnej baśni Mozarta (200 przedstawień w Berlinie!) oraz „składane" widowisko polityczno-satyryczne, oparte na tekstach Bertolda Brechta i grane przy udziale wdowy po nim słynnej aktorki Heleny Weigel właśnie w berlińskim teatrze Brechta — uzupełniły nasz berliński program.

Co mnie zadziwiło w teatrach niemieckich? To, że nawet po tak niemal polityczno-akademiowym widowisku, jakie widzieliśmy w teatrze Brechta, publiczność przez dobry kwadrans — siedząc w krzesłach — wytrwale oklaskiwała wykonawców. Czuło się, że widowni n a p r a w d ę zależy na przedłużeniu iluzji teatralnej i kontaktu z jej twórcami. Obejrzałem w NRD kilkanaście przedstawień, od Varieté do opery i wszędzie reakcja była identyczna. Aż przykro porównywać ten obyczaj z praktykami części naszych widzów, zaczynających „biegi do szatni" jeszcze przed zapadnięciem kurtyny...

Innym — dla odmiany — trochę szokującym z początku spostrzeżeniem był dla mnie tamtejszy zwyczaj jedzenia w teatrze. W czasie dużej przerwy, trwającej 15—20 minut, całe towarzystwa zasiadają w bufecie, przy stolikach albo stoją z talerzykami w rękach i zjadają statecznie swoje dwa serdelki z musztardą, kanapki z kiełbasą oraz różne sałatki. Do tego piją piwo, wino, soki owocowe, niemiecką a czasem także importowaną z Polski wódkę. Ano, co kraj to obyczaj. Zresztą, nie tak bardzo pozbawiony sensu. Ostatecznie nie każdy ma czas na kolację przed pójściem do teatru, i nie każdy może ją jeść po teatrze.

* * *

Ogromny obszar Berlina stwarzał wiele problemów komunikacyjnych nie tylko dla turystów. Rozwiązują je liczne i różnorodne środki komunikacyjne: tradycyjny tramwaj, jednopiętrowe autobusy, S-Bahn — elektryczna kolej naziemna i U-Bahn — takaż kolej podziemna. Ta różnorodność środków komunikacji miejskiej — oprócz wygody — nadaje jeszcze Berlinowi współczesny, rzeczywiście wielkomiejski charakter.

Kiedy np. chciałem zwiedzić popularny w Berlinie Dom Towarowy — odpowiednik warszawskiego CDT-u, — jechałem z mojego hotelu najpierw żółtym, piętrowym autobusem, potem S-Bahnem — biegnącym przez Berlin po wysokim nasypie — do Aleksanderplatz. Tu stoi duży, nowoczesny gmach Państwowego Domu Towarowego, gdzie przechodząc z piętra na piętro można kupić właściwie wszystko. Działy elektryczne i gospodarstwa domowego są szczególnie nowoczesne i dostatnio zaopatrzone. Toteż kobiety chodzą po nim całymi godzinami. Na parterze Domu Towarowego mieści się bar samoobsługowy, gdzie można zjeść tani a smaczny obiad — tzw. „Eintopfessen" — za 70 fenigów! Ostrzegam natomiast ludzi przywykłych do naszych barów mlecznych przed odwiedzaniem tych barów w Berlinie. A raczej niech je odwiedzają, ale świadomi, że zamiast naszego tradycyjnego mleka z makaronem lub ryżem — otrzymają tam wyłącznie mleko z rumem lub innym alkoholem, a z potraw najwyżej ciastka.

Z Aleksanderplatz można szybko przejechać podziemnym U-Bahnem na Karl Marks-Allee, reprezentacyjną ulicę stolicy NRD. U-Bahn kursuje obecnie tylko w Berlinie demokratycznym, stąd wiele stacji tej kolei w mieście, skąd pociągi szły do Berlina zachodniego, jest obecnie zamkniętych. Przejeżdżam 4 przystanki pod ziemią i po schodach wychodzę znów na światło dzienne. To Karl Marks-Allee. Zbudowana w pierwszych latach po wojnie część tej imponującej ulicy, przyciężka w architekturze ogromnych, pseudo-monumentalnych szarych bloków mieszkalnych, przypomina — w gorszym nieco wydaniu — nasze MDM w Warszawie. Widocznie powstawały w tym samym czasie bezmyślnego powielania w szeregu krajów socjalistycznych wzorów, obcych ich architekturze i zasadom nowoczesnej funkcjonalności. Za to dalsza część tej wielkomiejskiej arterii, będąca jeszcze w budowie — daje przechodniowi prawdziwą satysfakcję. Smukłe, wielopiętrowe bloki mieszkalne, nowoczesne w sylwetce i śmiałe w doborze kolorów — są tym razem naprawdę budowane z myślą o mającym w nich mieszkać c z ł o w i e k u. Na wielu z nich, tych nie ukończonych — czerwone transparenty z niemieckimi napisami: „Ami go home. Precz z okupantami z zachodniego Berlina!" Jeszcze jedno przypomnienie tej nienormalnej sytuacji „miasta frontowego", w jakiej dzięki mocarstwom zachodnim muszą żyć mieszkańcy Berlina zachodniego i jaka rzutuje również na mieszkańców stolicy NRD. Ostatecznie nikomu nie żyje się za wesoło w mieście, gdzie granica państwowa rozdzieliła nie tylko dwa ustroje społeczne ale i rodziny.

Ale turysta się śpieszy. Turysta nie ma czasu na rozpamiętywanie nienormalnej sytuacji tego miasta. Przygląda się bogatym wystawom sklepów, świadczących o dużym postępie gospodarczym, poczynionym przez NRD w ostatnich latach, przysłuchuje się strzępom przypadkowych rozmów. Czasem są to nawet rozmowy jego rodaków.

Było to w sklepie z galanterią, gdzie wstąpiłem, niezdecydowany co do wyboru upominków, jako że każdy pozostawiony w kraju członek rodziny czy nawet dalszy znajomy oczekuje od jadącego za granicę zagranicznych upominków. Nagle do sklepu wpadło dwóch facetów.

— Stasiu! — krzyknął jeden z nich w drugiej naszym uszom polskiej mowie. — Nie tędy. Szoruj na lewo! Tylko weź z sobą koszyczek!

Nazwany „Stasiem" złapał za druciany koszyczek, bo sklep był samoobsługowy i pognał truchtem między stoiskami za wołającym. Nie namyślając się wiele, ruszyłem także za nimi. Dopadłem ich przy stoisku z krawatami, właśnie gdy ładowali do swoich koszyczków całą serię rzeczywiście ładnych a przy tym bardzo tanich krawatów. Nie oglądając towaru, ostatni krawat zagarnąłem z pod nosa nieco zaskoczonych rodaków. I wyszedłem z łupem na ulicę (kosztował tylko 2,50 marki) pełen podziwu dla handlowego nosa naszych za granicą i niepokoju, czy zdążę na kolejny pokaz niemieckiej estrady.

* * *

Właśnie — niemieckiej. Bo śmiało można mówić o estradzie niemieckiej tak jak istnieje w innych warunkach kulturalnych i obyczajowych ukształtowana estrada polska czy francuska. Z tym zastrzeżeniem, że termin „estrada" obejmuje szeroki wachlarz występów estradowych, od kabaretów literackich aż po śpiewające w nocnych lokalach piosenkareczki.

W ciągu tych 3 berlińskich dni pokazano nam właściwie prawie wszystko, co NRD w tej dziedzinie posiada na poziomie kwalifikującym się już do próby zaoferowania zagranicy. Kiedy dołączyć do tego to, co w ciągu następnych dwóch tygodni widziałem jeszcze sam w kabaretach i salach widowiskowych Berlina, Lipska, Drezna, Halle i paru mniejszych miast niemieckich, to prowokuje to już do kilku uogólniających uwag.

Zasadnicza różnica: estrada polska, nasze krajowe programy rozrywkowe — ogólnie biorąc — są bliższe swym charakterem teatrowi czy teatrzykowi satyrycznemu, gdzie oprócz piosenki — występuje satyryczny monolog, wiersz, skecz, scenki humorystyczne, różnego typu parodie. Względnie oglądamy „czyste" programy wokalno-muzyczne, wykonywane przez kilku piosenkarzy i piosenkarki, „nowoczesny" zespół muzyczny i mniej lub więcej dowcipnego konferansjera. (Sprawa nie zawsze dobrego poziomu naszych imprez estradowych to odrębny problem). Tymczasem w NRD, podobnie jak w NRF, najbardziej powszechnym i ulubionym typem programu rozrywkowego było i jest Varieté — widowisko estradowe bliższe cyrkowi, oczywiście na ogół — choć nie zawsze — w dobrym tego słowa znaczeniu. Na program przeciętnego, u nas raczej dziś mało, a i przed wojną nie za dużo uprawianego Varieté (nie mówię tu o cyrkach i występach jarmarcznych) — oprócz piosenki, składają się solowe występy różnego typu ekwilibrystów, żonglerów, iluzjonistów, manipulatorów, dalej zespołów muzycznych od współczesnych aż do trącących dla nas myszką zespolików, grających na ustnych organkach, wreszcie komików ekscentrycznych, popisujących się różnego typu parodiami, od mimiczno-muzycznych aż do chodzenia po linie. W każdej prawie sali występowej w NRD zobaczyć można pod sufitem odpowiednie przyrządy do akrobacji i w każdym programie Varieté — budzącą podziw swym wdziękiem i techniką parę akrobatów. Do tego dochodzą akrobaci jeżdżący na wrotkach, soliści koncertujący lub taneczna para, bajecznie zręczni malarze i rzeźbiarze, tworzący swe „dzieła" w takt muzyki oraz rytmicznych kroków swych urzekająco rozebranych asystentek. Niekiedy, ale to nadzwyczaj rzadko, trafia się ktoś z monologiem humorystycznym. Ale zazwyczaj jedynym słowem estradowym w tych programach jest tekst konferansjera — to on zapowiada poszczególne numery, opowiada dowcipy.

I to jest właśnie Varieté — najbardziej popularny w Niemczech przedwojennych a i obecnie jeszcze tam najpowszechniejszy typ masowego widowiska rozrywkowego. Widowiska angażującego wzrok, słuch, poczucie rytmu i melodyjności, bardzo często budzącego podziw estetyczny dla gracji i harmonii ciała ludzkiego, dla wysokiego, aż do perfekcji doprowadzonego kunsztu ludzkiej zręczności i wytrwałości. Ale absolutnie nie wymagającego od widza m y ś l e n i a. Co przy faktycznej niemal wyłączności tego typu widowisk w dziedzinie „lekkiej" rozrywki może skłaniać ludzi, zajmujących się w NRD sprawami upowszechniania kultury oraz dążących do nadania jej charakteru socjalistycznego — do snucia nie zawsze pogodnych refleksji.

Ale o tym i o innych problemach estrady niemieckiej — za tydzień.

TADEUSZ SIUPECKI

EWA SULIBORSKA

Łodzianie 1963

Irena Strzemieczna

„W fotografii — mówi Irena Strzemieczna — interesuje mnie portret. I to nie tylko dlatego, że jestem zawodowcem i poza fotografią artystyczną uprawiam, jak można by to nazwać, fotografię użytkową. Poprzez ukazanie ludzkiej twarzy najwięcej można o człowieku powiedzieć — wiedziano o tym wiele wieków przed nami, my mamy tylko czulsze narzędzia, dokładniej potrafimy rejestrować".

Irena Strzemieczna, córka warszawskiego fotografa rozpoczynała samodzielną pracę w roku 1935. „Jak to się stało, że wybrałam ten zawód? Chodziłam do liceum handlowego i któregoś dnia zabrałam się do robienia zdjęć, zabrałam się od razu z dużą pasją... i tak to już zostało. Między innymi moim nauczycielem był Stanisław Brzozowski, znany w Warszawie fotograf teatralny, fanatyk naszej sztuki, dziś mieszkający w Łodzi i tu mimo sędziwego wieku jeszcze pracujący. Dla Brzozowskiego wszystko co nie służy fotografii oznacza marnowanie czasu. Kiedy przed wojną spalił się jego zakład mówiono, że to strata narodowego dobra. Tyle archiwa Brzozowskiego zawierały materiałów do historii polskiego teatru".

Dziś w zakładzie Ireny Strzemiecznej znajduje się podobne archiwum. Profesorowie łódzkich uczelni, aktorzy, śpiewacy, pisarze i wirtuozi mają tu swoje kartoteki. Pani Irena kolekcjonuje zdjęcia, zapisuje daty... Kiedyś przed laty Brzechwa żartobliwie gdzieś napisał — „Książka wydana, fotografia u Strzemiecznej zrobiona — zrobiłem wszystko, co do mnie należało". Fotografia zrobiona u Strzemiecznej należy do obowiązków każdego szanującego się człowieka. Pani Irena pracuje w Łodzi od 1945 roku, ale znana jest właściwie w całej Polsce. Ściągają do niej wyjeżdżający na zagraniczne wojaże pianiści, dyrygenci i śpiewacy... Pani Irena wykonuje specjalne zdjęcia do prospektów reklamujących naszych muzyków za granicą. Jej zdjęcia obejrzeć można na wystawach okręgowych Związku Artystów-Fotografików, w salach Teatru Jaracza i Operetki. Teraz przygotowuje wystawę dla Teatru Ziemi Łódzkiej. Z sentymentem mówi o rzeszy studentów, którzy się u niej fotografują.

„Nie oddzielam pracy artystycznej od pracy zawodowej. Moi klienci na szczęście pozostawiają mi swobodę wyboru. Niczego mi nie narzucają. Dzięki temu takie połączenie jest możliwe. W zdjęciach portretowych sprawą najważniejszą jest uchwycenie indywidualności modela: czegoś co tylko dla niego jest charakterystyczne. Każdy człowiek wykonuje gest, robi grymas, którego nie można od jego indywidualności oddzielić. Kiedyś w czasie powstania warszawskiego mieszkając na wsi nie miałam nic innego do czytania poza dziełami zebranymi Słowackiego. Ale ponieważ musiały mi one starczyć na długo, czytałam tylko po kawałku, bardzo wolno, rozkładając sobie tę lekturę... Uderzyły mnie w tej poezji pewne motywy powracające ciągle, pewne niesłychanie charakterystyczne zwroty, skojarzenia... To tak jak z tym gestem, czy grymasem".

„Dziś zdjęcie portretowe ma zupełnie inny charakter niż jeszcze przed kilku laty, nie mówiąc już o czasach sprzed wojny. Fotografia, jak wszystkie inne sztuki, ulega ustawicznym przemianom. Zmieniają się kierunki, formy, zmienia się wreszcie moda. Dziś w fotografii użytkowej obowiązują portrety typu „reportażowego".

„Portreciści mogą szukać sposobu na wydobycie jakiejś obiektywnej prawdy o fotografowanym człowieku, ale mogą też portrety kształtować, mając gotową już wizję. Nawiasem mówiąc portretowani są wtedy, można to łatwo zaobserwować, do siebie w jakiś sposób podobni. Mnie interesuje portret, który dawałby obraz zobiektywizowany modela. Portret, który charakteryzuje, portret psychologiczny. Najciekawszymi modelami są mężczyźni. I to nie ci najmłodsi.

„Staram się nawiązać z osobą, którą fotografuję kontakt, staram się by światło, bez niego nie można niestety robić zdjęć, nie powodowało tego, tak charakterystycznego „sztywnienia". Często nim klient zorientuje się robię zdjęcie. Te zdjęcia zwykle są najlepsze, najcenniejsze dla mnie. Pracuję wiele lat w swoim zawodzie, ale dotąd odkładam różne pilne prace i z niecierpliwością wywołuję klisze, by się dowiedzieć czy się udało, jak wyszło... Fotografia to zawód wymagający pasji i zamiłowania". Pani Irena Strzemieczna chętnie uczy innych, walczy uparcie o podnoszenie kwalifikacji fotografów. Jest pierwszą w historii rzemiosła kobietą wybraną na starszego cechu. Wprawdzie odbywa się to już dziś bez pięknych średniowiecze pamiętających ceremoniałów, fotografowie to zawód młody, liczący sobie niewiele ponad 120 lat, ale zawsze splendor to i zaszczyt wielki.

„Od fotografa wymagać trzeba nie tylko wiedzy fachowej, umiejętności patrzenia i zręczności palców, ale i znajomości zasad kompozycji i pewnej wiedzy o malarstwie i wrażliwości artystycznej... A portrecista? Portrecista powinien być dobrym psychologiem. Zresztą jest to zawód, którego wykonywanie sprzyja obserwacjom... Doszłam do pewnej wprawy w określaniu zawodu, cech charakteru moich klientów. Fotograf to często psycholog-amator".

„Niewiele czasu pozostaje mi na tzw. przyjemności. Ale jak tylko mogę, wyrywam się do filharmonii, do teatru, staram się nadążać za zmieniającym się czasem. Nie, do kina nie chodzę. Do kina chodzą moi trzej synowie".

ALEKSANDER NIEŚMIAŁEK

Oglądamy na ekranach

Choć lipiec w pełni i coraz częściej pisze się i mówi jako o „lecie stulecia", to jednak pod adresem Centrali Wynajmu Filmów należy napisać, że w przeciwieństwie do lat ubiegłych, w aktualnym repertuarze filmowym zadbała o to, ażeby nie dać odczuć widzom tzw. sezonu ogórkowego. I rzeczywiście raczej trudno mówić omawiając aktualne pozycje premierowe w naszych kinach o „filmowych ogórkach". Oprócz premiery filmu polskiego, reż. Nasfetera, „Zbrodniarz i panna", o którym już pisaliśmy mamy prawie dziesięć innych, ciekawych premier filmów zagranicznych.

Zacznijmy od kinematografji francuskiej, której filmy stosunkowo często oglądamy. Tym razem CWF prezentuje nam dwa filmy biegunowo od siebie odległe poziomem artystycznym (co wcale nie znaczy, że także wpływami kasowymi). Twórczość filmowa Georgesa Franju, zaliczanego do reżyserów „nowej fali" francuskiej, jest, niestety, u nas mało znana. Poza jedynym, a zarazem pierwszym filmem fabularnym Franju „Głową o mur" oglądanym tylko w dyskusyjnych klubach filmowych, innych dzieł tego ciekawego reżysera nie było na naszych ekranach. Reż. Franju oprócz interesujących dramatów psychologicznych jak wspomniany „Głową o mur" czy „Teresa Desqueroux" z rewelacyjną Emanuele Riva, (znaną z „Hiroszimy"), z powodzeniem potrafi realizować także interesujące filmy kryminalno-sensacyjne. „ŚWIATŁA NA MORDERCĘ" — to bardzo kulturalnie zrealizowany „kryminał", w którym oprócz nienagannej konstrukcji dramaturgicznej, świetnej krzyżówce „Kto zabił", film Franju ujmuje widza ironią i półuśmiechem z jakim potraktowani są bohaterowie szukający w średniowiecznym zamku trupa jego właściciela, aby stać się prawomocnymi spadkobiercami wcale niebagatelnej fortuny. Reżyser wykorzystał nie tylko takie akcesoria jak świetnie zakonserwowany lub zrekonstruowany średniowieczny zamek rycerski czy przeróżne tajemne skrytki, ale także skorzystał z najnowszej techniki dźwiękowej i świetlnej potrzebnej do zainscenizowania znakomitego spektaklu „Son et lumière".

Niestety, tylko pozornie typową francuską lekkością i ironią epatuje widzów „KAPITAN FRACASSE" w reżyserii Pierre Gaspar-Huita, autora oglądanych u nas „Praczek z Portugalii". Darować by można w tym filmie naiwną i zbyt grubymi nićmi szytą intrygę filmową jaką zawiera scenariusz oparty na znanej powieści Teofila Gautier, gdyby nie fatalna, bo strasznie szablonowa realizacja, której podstawowymi chwytami reżyserskimi są do znudzenia powtarzające się galopady i skoki w wykonaniu Jean Marais, a częściej prawdopodobnie jego dublerów. Trudno cokolwiek życzliwego napisać o roli Jean Marais poza tym, że nienagannie powtarza on wszystkie swe chwyty, gierki, znane już z takich filmów jak „Garbus" i „Serce i szpada".

O wiele przyjemniej ogląda się komedię amerykańską z cyklu jak zdobyć milionera, której bohaterką jest popularna Shirley Mac Laine, znana z „Garsoniery". Tym razem jako „DZIEWCZYNA W HOTELU" została wplątana w intrygę o posmaku skandalu. Jak z niej zwycięsko wychodzi, bardzo zręcznie ukazał reż. Joseph Anthony, który dość często bierze na swój warsztat reżyserski adaptacje sztuk teatralnych i powieści. Swego czasu reżyserował „Zaklinacza deszczu" wg sztuki Nasha z Katarzyną Hepburn i Burtem Lancasterem. Bliżej analizując jego następną adaptację filmową jaką jest „Dziewczyna w hotelu" wg sztuki Owena Elforda, można dostrzec pewne potknięcia wynikające ze scenariusza opartego na dość statycznej pod względem miejsca i czasu akcji sztuce teatralnej. Stąd w filmie reż. Anthony jest szereg sekwencji, kiedy akcja filmu zbyt przypomina ekranizację sztuki, a jest zarazem powolna jak na filmową komedię sytuacyjną. Nie mniej te potknięcia dramaturgiczne nie wpływają na ostateczny, pozytywny efekt filmu. Niewątpliwie wiele w tym zasługi wspomnianej Shirley Mac Laine, która udowadnia swój nieprzeciętny talent aktorski. O wiele słabiej zagrał swoją rolę znany z „Rio Bravo" Dean Martin.

Niezłym dramatem psychologicznym z pewnymi cechami filmu kryminalno-sensacyjnego można określić angielski film w reżyserii J. Lee-Thompsona „NIELETNI ŚWIADEK". Autor „U progu ciemności" i „Kobiety w szlafroku" tym razem bohaterem filmu uczynił dziewczynkę przypadkowego świadka zabójstwa dokonanego w afekcie. Umiejętnie potrafił zgrać sensacyjną fabułę dotyczącą poszukiwania mordercy z ciekawą analizą psychologiczną pary bohaterów. Owe studium psychologiczne dziewczynki i zabójcy jest najbardziej frapującą i konsekwentnie przeprowadzoną warstwą filmu Lee-Thompsona. Zaskakuje dojrzałością środków aktorskich mała Hayley Mills, córka odtwarzającego w tym filmie postać komisarza policji — Johna Millsa. Ciekawą postać marynarza — Polaka stworzył zachodnio-niemiecki aktor, znany u nas Horst Buchholz. Tak jak można bez zastrzeżeń przyjąć rolę graną przez Buchholza, tak trudno uwierzyć angielskiej aktorce Yvonne Mitschell w postać dziewczyny marynarza, którą ona kreuje. Polskie dialogi choć zostały w miarę poprawnie nagrane przez Anglików stanowią pomimo wszystko niepotrzebny zgrzyt dramaturgiczny w tym ciekawym filmie.

Kończąc należy nie tylko polecić Czytelnikom mniej lub więcej udane filmy, które staraliśmy się krótko omówić, ale także należy wspomnieć, że jednym z najlepszych filmów lipcowego repertuaru jest znakomita komedia Pietro Germiego „ROZWÓD PO WŁOSKU", której poświęcimy osobną recenzję.

Claudia Cardinale

Tralabomba

„Pierwszy arlekin" czyli „Dominique z Paryża" czyli Mim Ryszard Ronczewski — współtwórca zespołu, aktor teatralny i filmowy oraz reżyser — o „Rodzinie Afanasjeff".

Trzy spektakle dał w Łodzi podczas Festiwalu Teatrów Studenckich „Cyrk Tralabomba". Trzykrotnie łódzka publiczność do ostatniego miejsca wypełniła salę Teatru Rozmaitości a chętnych było tak wielu, że część musiała korzystać z parapetów okiennych... Poprzedzony legendą zespół Rodziny Afanasjeff po raz pierwszy prezentował się w mieście, z którym łączą go przecież bliskie więzy: Jerzy Afanasjew jest obecnie studentem Wydziału Reżyserii PWSTiF, zaś Ryszard Ronczewski ukończył ongiś Wydział Aktorski tejże uczelni, występował na scenach łódzkich teatrów i parał się reżyserią w „Pstrągu".

— Ronczewski opowiada o początkach „Cyrku Tralabomba":

— Po rozwiązaniu „Bim-Bomu" chodziliśmy wszyscy z uczuciem niedosytu. Wtedy właśnie część dawnego „Bim-Bomu" założyła nowy kabaret pod nazwą — „To-Tu", a w tym kabarecie szedł wiersz Jurka Afanasjewa „Cyrk". Tak właściwie zrodził się sam pomysł — postanowiliśmy po prostu rozbudować numer cyrkowy w samodzielne widowisko. Premiera „Cyrku Tralabomba" odbyła się w 1958 roku i wkrótce potem otrzymaliśmy zaproszenie do Anglii na Festiwal tamtejszych Teatrów Studenckich.

— Ronczewski opowiada o pobycie w Londynie i w Oxfordzie:

— Zapowiadało się zupełnie pechowo. Przede wszystkim, musieliśmy pojechać bez Jurka, a więc Alina i Ja mówiliśmy jego role. Np. Alina bardzo pięknie śpiewała basem... Nagle okazało się, że w drodze zginęły dekoracje! Trzeba więc było w pośpiechu zbudować specjalną bramę z ukradzionych desek przy pomocy cudem zdobytych gwoździ i młotka. Występowaliśmy w starej sali świetnie pasującej charakterem do naszego „Cyrku". Bo przecież „Cyrk Tralabomba" był bardzo ubogim, żałosnym cyrkiem, a po pożarze „zginęły resztki garderoby, koń Siza i kasjerka". Zimna angielska publiczność przyjmowała nas entuzjastycznie, byliśmy po prostu bohaterami dnia. Chodziliśmy w sławie i glorii. W gazetach angielskich pojawiły się świetne recenzje. Potem występowaliśmy w Londynie, gdzie dla odmiany tamtejsza Polonia również gorąco próbowała nas... zwalczać. Podczas przedstawień dochodziło do awantur pomiędzy angielskimi studentami a niektórymi gorliwymi przedstawicielami Polonii, którzy krzyczeli do nas: „Precz z komunistycznymi pachołkami". Jednym słowem — atmosfera prawdziwie zażarta. Na zakończenie w dniu wyjazdu na dworcu w Liverpoolu, odnaleźliśmy nasze dekoracje...

— Ronczewski opowiada o przyjęciu przedstawień przez widzów:

— „Cyrk Tralabomba" objechał również mniejsze miasta. Daliśmy w sumie 90 przedstawień i okazało się że ten rodzaj teatralny, że proponowane przez nas konwencje są świetnie odbierane, są komunikatywne i dostępne nawet mniej przygotowanym widzom. Potem zrobiliśmy spektakl „Białe zwierzęta", którego główną część stanowi ponad godzinny film pod tym właśnie tytułem. Film wywołał wiele dyskusji — my sami mamy do niego stosunek bardzo krytyczny. Sądzę osobiście, że jest zbyt długi, że z niektórych rzeczy można było zrezygnować, że posiada podstawowe wady w montażu. Ostatnia nasza premiera „Dobry wieczór błaźnie" miała jeszcze mało przedstawień. Jesteśmy wszyscy bardzo zajęci — Alina robi ilustracje do książek dla dzieci, pisze bajki i sztuki dla teatru dziecięcego. Jurek studiuje w Łodzi. Ja jestem kierownikiem artystycznym „Estrady" gdańskiej od czasu do czasu gram w filmie. Próby w „Cyrku" odbywamy oczywiście po nocach...

— Ronczewski opowiada o planach zespołu:

— Stworzyliśmy w Gdańsku nowy teatr, który ma być jakby przedłużeniem „Cyrku Tralabomba". Nazywa się „Teatr Rozmów", pierwszą premierą jest „Długi obiad świąteczny" Williamsa, drugą „Olaf Grubasow" — „Skandal w dwóch aktach" Jerzego Afanasjewa. W „Cyrku" również szykuje się kolejna premiera — ale na razie Jurek zobowiązał nas do absolutnej dyskrecji...

Rozmawiała: ALINA GRABOWSKA

Nieudany teatr lecz dobra publicystyka

Kruczkowski, Przymanowski, Iwaszkiewicz — w ciągu zaledwie jednego tygodnia trzy teatralne premiery telewizyjne polskich dramaturgów — jakby miniaturowy festiwal sztuk polskich, bardzo potrzebny i pożyteczny; gdyż telewizja zbyt rzadko wystawia utwory polskich pisarzy. „Lato w Nohant" Jarosława Iwaszkiewicza", sztuka, która obiegła niemały kawałek świata i chyba większość polskich teatrów, miała również kilka powtórzeń w Teatrze Polskiego Radia wreszcie doczekała się swojej telewizyjnej interpretacji (1. VII). Wszyscy ci, którzy ją znają z przedstawień teatralnych z dużą ciekawością oczekiwali telewizyjnego spektaklu. Nic zresztą dziwnego, gdyż obsada aktorska zapowiadała się rewelacyjnie, między innymi świetnymi nazwiskami widniało przecież nazwisko Gustawa Holoubka.

Tymczasem, jak to zwykle bywa z takimi dobrze zapowiadającymi się tytułami, telewizyjne „Lato w Nohant" nie stało się wcale rewelacją sezonu. Zawiódł reżyser, zawiódł scenograf, zawiedli też niektórzy wykonawcy. Przede wszystkim — dawno nie widziałem w telewizji tak dosłownych i konwencjonalnych dekoracji. Nie wiem, doprawdy, czy właśnie tak wyglądało wnętrze domu pani Sand, jak to nam pokazał scenograf, myślę, że można mieć poważne wątpliwości, niemniej, autor dekoracji zrobił wszystko, aby pedantycznie oddać „ducha epoki". Oglądaliśmy stąd przeładowane mebelkami pokoje, ba! nawet były sceny „plenerowe" w ogrodzie, gdzie ustawiono w równiutki rząd kwiatki, a lakierowane — chyba — krzewy z dykty miały imitować żywy ogród. Niestety — nie potrafiły nawet wywołać złudzenia optycznego. Po dwóch ostatnich spektaklach telewizyjnych — „Pierwszym dniu wolności", a zwłaszcza „15 sekundach, w których scenografia została przystosowana do telewizyjnych wymogów, funkcjonalnie wypełniając kryterium „telewizyjności", sztuczne dekoracje „Lata w Nohant" tym bardziej raziły.

Nie podobał mi się również obsadzony w roli Chopina i jak dotąd zawsze niezawodny Gustaw Holoubek. Wcale na przykład nie sprawiał on wrażenia człowieka nerwowego, czy też schorowanego, owszem — był trochę histeryczny, a trochę tajemniczy; mocno poza tym nie lubiący Francuzów — i to wszystko, co można powiedzieć o interpretacji roli przez Holoubka. A to stanowczo za mało. Doskonale natomiast wypadła Katarzyna Laniewska jako Solongo.

Przyzwyczailiśmy się — i my, recenzenci telewizyjni a przypuszczam, że telewidzowie także — do wypunktowywania szczególnej roli teatru w telewizji. Najczęściej do teatru sprowadzamy swoje uwagi oraz opinie, uważając telewizyjny teatr za podstawę programu. A ponieważ w tym tygodniu nic ciekawego w tym teatrze się nie wydarzyło, powinienem w związku z tym zakończyć swój felieton jakimś mało optymistycznym wnioskiem. Powinienem lecz tego nie uczynię. Chciałbym bowiem zwrócić uwagę na audycję, która miała już właśnie swoje piąte wydanie: — a mianowicie: „Most — Die Brücke", polsko-niemiecki magazyn, realizowany wspólnie przez telewizję NRD i polską. Tę właśnie audycję uważam za najcenniejszą w minionym tygodniu telewizyjnym.

Publicystyka polityczna należy do najbardziej starannie przygotowywanych programów w telewizji. W zestawieniu z publicystyką społeczną czy gospodarczą, wyróżnia się ona wielkimi walorami poznawczymi. Nie dlatego, żeby tamte tematy były gorsze lub mniej ciekawe, lecz dlatego, że są one pokazywane bardzo schematycznie, traktowane głównie jako magazyny informujące, wyjałowione często przez to z „ziarnka goryczy", obchodzące lekliwie istotne konflikty. Stąd wszelka inna publicystyka jest dla naszej telewizji — poza małymi i sporadycznymi wyjątkami — przysłowiowa pięta Achillesa, nad którą ubolewają czasem recenzenci i którci nie toleruje widzowie. Mimo, że o wiele trudniej jest przygotować dobrze temat polityczny, — przede wszystkim ze względu na częsty brak atrakcyjnych materiałów zdjęciowych, to publicystyka polityczna góruje również i w zakresie realizacji. Nie tak dawno wprowadzony do programu magazyn „Światowid", poruszający aktualne tematy polityczne, od początku zyskał wielu gorących zwolenników, po prostu dlatego, że jest dobrze i starannie przygotowywanym programem. Podobnie z magazynem polsko-niemieckim „Most — Die Brücke". Ostatnie jego wydanie poświęcone zostało polskiemu i niemieckiemu wybrzeżu; temat mocno drażliwy dla zachodnio-niemieckich rewizjonistów.

Polskie miasta: Gdynia, Gdańsk Kołobrzeg i Szczecin, które jeszcze nie tak znowu dawno nosiły niemieckie nazwy, pokazane zostały oczami niemieckiego reportera. Tak więc i dla nas, Polaków, była to ze wszech miar ciekawa wędrówka po znajomych sobie miejscowościach. O Kołobrzegu pisała, zacytowana przez reportera niemieckiego rewizjonistyczna zachodnio-niemiecka gazeta, że jest on skupiskiem gruzów i ruin, w którym egzystuje marnie zaledwie trzynaście tysięcy mieszkańców. No cóż już tylko sam reportaż filmowy przeczył temu kłamstwu. W części niemieckiej z kolei polski reporter pokazał nam — niegdyś zniszczone przez wojnę, a teraz odbudowane, miasta NRD. Poznaliśmy w nich mieszkańców między innymi, znanego nam z telewizyjnego filmu NRD „Niepokój sumienia", pułkownika Petershagena, dzięki któremu stare miasto Greifswald uniknęło zagłady zniszczenia.

Nie będę tu omawiać wielkiego znaczenia politycznego tych programów, sądzę że jest ono dla wszystkich zrozumiałe. Pragnę jednakże podkreślić, że propagandowa funkcja telewizji jest spełniana — jak dotąd — głównie dzięki jej magazynom politycznym. Myślę również, że tematy polityczne pojawiają się w sumie zbyt rzadko na małym ekranie i że warto byłoby rozszerzyć ich zakres w nowym kwartale telewizyjnym.

KOWALSKI

Arystarch

KLUCZE ALBO POZORY SPRAWIEDLIWOŚCI

Cóż to znów za klucze? Odpowiedziałbym, może nieco patetycznie, że będzie tutaj mowa o kluczach do ludzkich serc.

Niemal wszyscy socjopsychologowie, badający układy stosunków między ludźmi w przemyśle, stwierdzają fakt, na pozór banalny, że z rozwojem mechanizacji i automatyzacji produkcji przemysłowej zauważa się wzrost znaczenia roli inżynierów i techników, i to nie tylko w zakresie planowania i technologii, ale również w sprawach integracji lub dezintegracji społecznej w zakładach pracy.

Z tego faktu wynikają doniosłe konsekwencje. Kapitaliści zachodni nie ukrywają, swoich obaw z tego powodu, że wzrastająca rola i znaczenie specjalistów pogłębiają i tak już dostatecznie głęboką przepaść pomiędzy kadrą wysoko wykwalifikowanego personelu zarządzającego a masą niewykwalifikowanych lub o niskim stopniu kwalifikacji robotników.

Może to wywołać i wywołuje poważne zakłócenia w pracy przedsiębiorstwa i jeżeli nie zapobiegnie się temu w porę, może spowodować niebezpieczny kryzys.

W jaki sposób jednak zaradzić złu? Jaki plaster ochronny przyłożyć tam, gdzie tylko rewolucyjna zmiana od podstaw, z gruntu, nie unikajmy tego słowa: obalenie ustroju kapitalistycznego może przynieść realne widome rezultaty.

Stosuje się oczywiście, paliatywy, to znaczy, środki przynoszące chwilową ulgę w chorobie, ale nie usuwające jej radykalnie i bezpowrotnie. Takim szalenie modnym w Europie zachodniej paliatywem, zalecanym przez tamtejszych socjologów, jest tak zwane human relations czyli taktowne obchodzenie się dyrekcji, przełożonych i właścicieli fabryk z wyzyskiwanymi robotnikami oraz stwarzanie im przyjemnych złudzeń, że — jeżeli nie są współwłaścicielami, to przynajmniej — współgospodarzami zakładu pracy.

W studium socjologicznym „Integration sociale" wydanym przez UNESCO (cytuję za Ryszardem Turskim „Dynamika przemian społecznych w Polsce") podano dokładny opis trudności pewnej francuskiej fabryki w związku z modernizacją techniczną zakładu. Wprowadzenie nowych urządzeń, a co za tym idzie, zaangażowanie odmłodzonej kadry inżynierów i techników groziło poważnym konfliktem ze starymi zasłużonymi majstrami. Przewidywano, i słusznie, że starzy majstrowie będą się czuli zdegradowani, pokrzywdzeni, odsunięci na drugi plan, co może spowodować zakłócenia w procesie technologicznym, wywołać destrukcyjne nastroje i wszelkie inne związane z tym nieprzyjemne następstwa.

Jak temu zapobiec? Jak zażegnać grożący konflikt?

I oto znalazł się ktoś z „głową", kto wpadł na pomysłowe rozwiązanie i znalazł dla dyrekcji wyjście z trudnej sytuacji.

Uszczęśliwiona dyrekcja postanowiła i wydała zarządzenie, że klucze do zakładów pracy warsztatów etc, mogą posiadać o każdej porze dnia i nocy jedynie i wyłącznie majstrowie! Ci „usatysfakcjonowani" w ten pomysłowy i niekosztowny sposób starzy mistrzowie podlegali w pracy nowym młodym inżynierom, ale pozostawiono im błogie złudzenie, że cieszą się większym zaufaniem dyrekcji niż żółtodzioby — inżynierowie!

Był, to naturalnie, zwyczajny trick, pozór równościowy, fikcja sprawiedliwości społecznej, ale jak się nie ma robotnikom co dać, to się im „osładza" życie złudzeniami.

Słusznie podkreśla z naciskiem Ryszard Turski we wspomnianej „Dynamice przemian społecznych w Polsce", że hierarchia związana z systemem prywatnego posiadania środków produkcji i równość społeczna to dwie rzeczy absolutnie wykluczające się wzajemnie.

Kapitaliści „wyłażą ze skóry", jak to się mówi, w poszukiwaniu plastrów, kataplazmów i innych półśrodków na krwawiące rany nierówności społecznej i nie żałują pieniędzy na propagandę i fabrykację złudzeń dla robotników przy pomocy uczonych socjologów, których mają na oje usługi. Amerykański profesor psychologii na uniwersytecie w Michigan, Norman F. R. Maier wydał specjalną pracę z dziedziny odnoszącej się taktownego obchodzenia się i traktowania podwładnych robotni. pod tytułem „Principles of humain relations". Książka ta jest formalnym kluczem (rozumiem przez to zarówno: szkolny bryk, jak i klucz do serc najemników) dla personelu zarządzającego przedsiębiorstwem kapitalistycznym i poucza, jak należy postępować, aby stwarzać pozory klimatu sprawiedliwości społecznej wśród załogi.

Uczony profesor posuwa się tak daleko, że zaleca personelowi kierowniczemu szczegółowe wzory rozmówek z robotnikami, dając przykładowe pytania i odpowiedzi.

Wszystkie te próby wskazują, że „human relations" spędza kapitalistom sen z oczu i że usiłują oni wszelkimi sposobami złagodzić ostrość konfliktu, którego nie mogą uniknąć.

Robotnik, nie związany prawdziwym węzłem interesu i odpowiedzialności z fabryką, nie tylko nie popiera postępu technicznego, grożącego mu utratą pracy, myśle o racjonalizacji i automatyzacji, ale zmierza nawet do podejmowania prób hamujących produkcję.

A jak te sprawy wyglądają u nas, w Polsce?

O tym za tydzień — w następnym felietonie, pod tytułem: My i oni.

Jaśnie Pan Nikt

TADEUSZ WIĄCEK

Sezon teatralny ma się ku końcowi. Chcąc ściągnąć jak największą ilość widzów, teatry sięgają do lżejszego repertuaru. Teatr Powszechny, który posiada tradycje w wystawianiu tego rodzaju sztuk, (że przypomnę „Wesołe miasteczko" czy „Królową przedmieścia") przygotował komedię Lope de Vegi „Jaśnie Pan Nikt". Adaptacja Krzemińskiego ma tym razem formę musicallu. W tym sezonie była już ona wystawiana na scenach Krakowa i Wrocławia. Reżyserii w teatrze łódzkim podjęła się znana gwiazda operetki Beata Artemska. Choć już odbyła się premiera, pokażmy jednak jej przygotowanie.

Jest 15 czerwca. Za dwa dni zespół Teatru Powszechnego wyjeżdża do Czechosłowacji. To ostatnia próba tej sztuki przed odjazdem. **Godzina 10.** Asystent reżysera wprowadza mnie na scenę. W dole widzę pierwszy rząd krzeseł na widowni, gdzie za niewielkim stolikiem siedzą: reżyser Beata Artemska, oraz choreograf Eugeniusz Papliński z żoną. Zajmuję miejsce w „kieszeni". Jest to niewielkie pomieszczenie w samym rogu sceny, łączące bezpośrednio kulisy ze sceną. Na scenie stoją już prowizoryczne drewniane dekoracje obrazujące trzy balkony. Nad nimi zwisa makieta do wystawianej wieczorem sztuki Dürrenmatta „Fizycy". Aktorów jeszcze nie ma. Słyszę głos reżysera — „Proszę państwa, już pięć minut po dziesiątej". Zza kulis wychodzi asystent — „Nie mam jeszcze aktorów". — „Potrzebny mi Niemczyk i Kałuda. Wiem, że Niemczyk ani razu się nie spóźnił" — mówi Artemska. — „Poszedł się przebrać" odpowiada asystent. Próba zacznie się od trzeciego aktu..

Godzina 10.45. Przez scenę przechodzi kierownik muzyczny przedstawienia Pawłowski. Zajmuje miejsce przy stojącym w rogu sceny pianinie. Zaczyna grać. Do mojej „kieszeni" weszło trzech mężczyzn z ekipy technicznej. W takt melodii wychodzą na scenę i znikają po drugiej stronie. W głębi sceny siedzą już Leon Niemczyk i Teresa Kałuda. Zaczynają śpiewać. Kończą i już toczy się dialog. Przerywa im reżyser — „Coś jest nielogicznego w tym zdaniu". Niemczyk odchodzi na bok, gdzie przy stoliku siedzi suflerka z tekstem. Wraca na scenę i powtarza to samo z inną intonacją. Teraz jest dobrze. Dialog trwa dalej. — „Niech pani mówi więcej z dystansu" — zwraca się Artemska do Kałudy. Powtarzają jeszcze raz. Suflerka podpowiada aktorom pierwsze słowa zdań. — „Proszę przesunąć ręką obok ucha" — mówi reżyser i wszedłszy na scenę pokazuje jak to ma wyglądać. Powtórka i dalsza część dialogu. Kolejna uwaga Artemskiej — „W tym miejscu powinna pani użyć kobiecej broni — łez". Pianino zaczyna grać, a oboje aktorzy toczą śpiewany dialog. — „Za nerwowo" — przerywa reżyser. Powtarzają. Na scenę wchodzi choreograf i pokazuje Niemczykowi jak ma wyglądać jego taniec z Kałudą. Przy pianinie Pawłowski akompaniując zapala papierosa. Aktorzy tańczą i śpiewają piosenkę „Kłopoty z tym księżycem". Kończą i Niemczyk zwraca się z prośbą do reżysera — „Zróbmy tylko zakończenie". Dialog, tym razem mówiony. — „To jest nieczyste wejście" przerywa Artemska. Powtarzają i schodzą ze sceny. Zza kulis wychodzi Michał Szewczyk. — „Jestem sam" — mówi do Artemskiej. Okazuje się, że jego partner jeszcze nie przyszedł. Zamiast niego tekst będzie czytała suflerka. Szewczyk prowadzi z nią dialog. Na scenę wraca Niemczyk. Z akcji wynika, że Szewczyk i jego partner, powinni na niego natrzeć ze szpadami. Ale tego ostatniego nie ma. Zastępuje go, opuszczając pianino, Pawłowski, który zamiast szpadą kłuje pierś Niemczyka wskazującym palcem.

10.45. Na scenie dialog Kałudy z Gamskim. Tymczasem po drewnianych schodach dekoracji wspina się Halina Pawłowicz (pamiętamy ją z doskonałej roli w „Idiotce") i zajmuje miejsce na prowizorycznym balkonie. Zza kulis wychodzi Skoczylas z przypiętą u boku szpadą i mówi tekst płaczliwym głosem do Kamasa. Na scenie pojawia się Gamski taszcząc starą walizkę, która w środku jest pusta. Kamas wyrywa mu ją z ręki i cała trójka schodzi ze sceny. Choreograf pokazuje im, jak to zejście ma wyglądać. Powtarzają raz jeszcze i nagle cisza. — „Co jest?" — pyta Artemska. — „Nie wiemy co teraz robić" — odpowiadają. Choreograf Papliński powtarza z nimi tę scenę. Robi to jeszcze cztery razy. Wreszcie Artemska wpada na scenę i powtarzają jeszcze raz. Nareszcie jest dobrze.

10.55. Stojąca na drewnianym balkonie Pawłowicz zaczyna dialog z Niemczykiem. Potem śpiewa piosenkę. Pod balkonem stoi Szewczyk i krzyczy „Ooo!" Odpowiada mu Pawłowicz „Ooo?" i wszyscy się śmieją. Na scenę wchodzą: Skoczylas, Kamas i Gamski. Ten pierwszy śpiewa. Po nim Pawłowicz. Teraz krótka wymiana zdań i cała trójka mężczyzn płacze. Za kulisy wychodzą Kamas i Gamski, a Pawłowicz ze Skoczylasem śpiewają w duecie. Ale choreografowi nie podoba się układ taneczny. Wchodzi na scenę i pokazuje zawiłe pas. Skoczylas próbuje powtórzyć i stwierdza, że „to już nie te lata", a przecież choreograf Papliński jest od niego o wiele starszy. Wszyscy się śmieją, chociaż stare przysłowie teatralne mówi, że jak próby są wesołe to premiera będzie smutna. Powtarzają tę scenę kilkakrotnie.

11.15. Na scenie Artemska pokazuje Kamasowi jak ma wejść. Z boku stoi Gamski ze starą walizką. W tej samej chwili w głębi sceny zjawia się Niemczyk. Prowadzi dialog z Gamskim. Teraz Niemczyk schyla się i szybko podnosi walizkę. Głos Artemskiej — „Uważaj, Leon, to jest bardzo ciężkie". Aktor powtarza, otwiera walizkę (w środku pusta) i przerzuca w niej pieniądze. Na scenę wchodzi choreograf i pokazuje Niemczykowi zejście tanecznym krokiem ze sceny z walizką na głowie. — „To musi być bardziej hiszpańskie" — mówi do aktora. Zostaje tylko Gamski. — „Musisz być wściekły" — podpowiada Artemska. Na podwyższeniu dekoracji stoi Kałuda. Głos reżysera — „Pani musi histeryzować". Aktorka powtarza, ale Artemska nie jest zadowolona. Wreszcie aktorka trafia we właściwy ton. Dialog z Gamskim. — „Może pani uklęknie przy nim" — mówi reżyser — „to będzie bardziej konspiracyjnie".

11.25. Na scenie Gamski i Szewczyk z wyciągniętą szpadą. Z kolei rozmowa Połomskiej z Wiernkiem. Powtarzają jeszcze dwa razy i znikają za kulisami. Na środku sceny Niemczyk wygłasza monolog. — „Trochę szybciej" — zwraca mu uwagę reżyser. Przybyła Gamski i Szewczyk z obnażonymi szpadami atakują Niemczyka. Zabierają mu sakiewkę i znikają za kulisami. Z lewej strony sceny, na balkonie, stoi Pawłowicz, na środku Kałuda, a z prawej Połomska. Wszystkie trzy śpiewają nad Niemczykiem piosenkę „Adios senor caballero". W „kieszeni" obok mnie stoi Skoczylas i Płoszaj. Na scenie Niemczyk śpiewa, ale przerywa mu Artemska — „Zwracaj się bardziej do widowni". Aktor powtarza i kończy słowami „Idźcie, komedia skończona". Na te słowa zza kulis i „kieszeni" wychodzą na scenę wszyscy aktorzy śpiewając chórem ostatnią piosenkę musicallu.

11.55. Przerwa. Aktorzy schodzą do baru. Scena jest pusta. Wychodzę z „kieszeni" i zajmuję miejsce obok stolika reżysera. Rozmawiam z Artemską i choreografem Paplińskim, który przygotowywał już ten musicall w Krakowie i Wrocławiu. Mówi Artemska — „To jest dziesiąta próba sceniczna tej komedii. Przedtem były próby czytane. Po przyjeździe zespołu z Czechosłowacji będzie jeszcze osiem prób. Reżyseruję po raz pierwszy w tym teatrze i muszę powiedzieć, że pracuje mi się nadzwyczaj przyjemnie. Chciałabym podkreślić duże zdyscyplinowanie aktorów, spośród których jest przecież wiele gwiazd filmu i telewizji. Zaskoczyły mnie wysokie umiejętności wokalne zespołu Teatru Powszechnego. Nie widziałam przedstawienia wrocławskiego ani krakowskiego, tak, że nie będę się sugerowała tamtą reżyserią. Wydaje mi się, że lżejszy repertuar na początku lipca jest jak najbardziej wskazany. Nawet Szyfman w Teatrze Polskim przed wojną dawał o tej porze lżejsze premiery". Kończy się przerwa. Zostaję na nieoświetlonej widowni obok reżysera i choreografa.

12.10. Połomska i Wiernek powtarzają jedną ze scen. „Idź za nią i przyklękaj" mówi Artemska. Na scenę wraca cały zespół i wznawia piosenkę finału. „Coś tu nie gra" mówi reżyser. „Brakuje Pawłowicz, która teraz przymierza kostium" — odpowiada jedna z aktorek. Aktorzy opowiadają anegdoty. Skoczylas wspomina pobyt na Węgrzech — „Podchodzi do mnie w barze jeden z aktorów i pyta jak jest po niemiecku „przy". Odpowiadam, że „bei", a on mi na to — a jak będzie „przyjaciel". — „Powtarzamy finał bez pani Pawłowicz" — mówi Artemska. Aktorzy śpiewają i mijają się w dwóch rzędach. „Ja bym wyrzuciła tego twista" — mówi Artemska. Papliński upiera się, że twist powinien zostać. Uzgadniają, że z twistem będzie lepiej. Finał jest powtarzany jeszcze kilkakrotnie. Teraz próba wejścia komików — Gamski, Szewczyk, Przybyła, Kamas. Po nich żołnierze. Kierownik muzyczny Pawłowski proponuje, żeby po komikach weszli najpierw gospodarze, a dopiero po nich żołnierze. Powtarzają ten nowy układ. Krok musi być zsynchronizowany z melodią. Widzę, że aktorzy są już bardzo zmęczeni.

12.45. „Drugi akt proszę" — mówi Artemska. Aktorzy protestują: próba do czternastej będzie za ciężka. Ale próba musi trwać dalej. Na scenie stoi Niemczyk i ni stąd ni z owąd mówi — „O której godzinie mam zacząć". Wszyscy wybuchają śmiechem. Niemczyk uśmiecha się i mówi — „Nie dziwcie się, to już trzeci dzień takiej orki". Obok niego stoją już Gamski i Przybyła. Śpiewają. Choreograf pokazuje im jak ma wyglądać układ taneczny w trakcie wykonywania piosenki. Na podwyższeniu w głębi sceny stoi Kałuda. Pod nią Niemczyk walczy na szpady z Gamskim i Przybyłą. Ci ostatni wychodzą za kulisy. Kałuda zasłaniając się okrągłą tacą prowadzi dialog z Niemczykiem. Zaprasza go do siebie i pyta reżysera — „Którędy on będzie wchodził?". — „Zobaczymy, jak będzie pełna dekoracja" — odpowiada Artemska. Na scenie Halina Pawłowicz śpiewa jeszcze jedną piosenkę.

13.05. Wiernek i Połomska. Reżyser wskazuje, jak mają się ustawić. Wchodzi Pawłowicz. Próbują kilkakrotnie tę scenkę. Artemska proponuje żeby Wiernek wyniósł Pawłowicz. — „Ja jestem za ciężki kaliber" — mówi ta ostatnia z uśmiechem — „A on się już zaczerwienił". Mimo wszystko Wiernek stara się ją wynieść. Wtem Pawłowicz przyklęka i krzyczy — „Rękę byś mi złamał". Masuje sobie łokieć. Po chwili mówi do Wiernka — „Teraz zamarkujmy". Reżyser do Połomskiej — „Pani Basiu niech pani stanie tutaj". Z kolei scena strip-teasu. Pawłowicz chowa się za dekoracją, a Wiernek ma ją rozbierać. Wreszcie pozostaje tylko Pawłowicz i śpiewa piosenkę „La dolce vita". Z boku wychodzi dwóch mężczyzn. Aktorka błaga ich o pomoc. — „Nie tak!" — krzyczy Artemska i pokazuje jak ona chciałaby to widzieć.

13.30. Nareszcie koniec próby. Zmęczeni aktorzy schodzą ze sceny. Za półtorej godziny następna próba, a o osiemnastej spektakl „Fizyków".

Artykuł był pisany jeszcze przed zakończeniem sezonu teatralnego. Odsłania on kulisy narodzin spektaklu teatralnego.

T. W.

„Oj, kobietki, kobietki"

Koniec sezonu nie sprzyja z pewnością wielkim wydarzeniom. Widz ma prawo oczekiwać od teatru w tym czasie strawy lekkiej i pożywnej. Dobrze się więc stało, że kanikuła zainaugurowana została przez Teatr 7,15 komedią pióra węgierskiego pisarza Laszlo Svölyom. Co do komedii, bywają lepsze. I lepsze można by, jak sądzę, grywać. Co do teatru, to zrobiono jednak wszystko by rzecz przyprawić do smaku i nadać spektaklowi pewną elegancję. Jakież inne stawiać można żądania?

Polecimy więc komedię tym, którzy pragną odpocząć po upalnych dniach. Tym więcej, że Stefan Drewicz, właściwie oceniwszy wartości „Oj, kobietki, kobietki", podkreślił jej bulwarowo-operetkowy charakter, Wiesław Machejko napisał kilka zabawnych piosenek, a Jadwiga Andrzejewska, Izabella Pieńkowska, Zofia Wilczyńska i Ryszard Dembiński ładnie rzecz zagrali. „Oj, kobietki, kobietki" to rzecz o niczym, lecz bawmy się niczym, skoro inaczej nie można. Choć dodać tu trzeba, że szkoda może co najmniej dwóch aktorów i dobrego reżysera do takiej zabawy.

E. S.

Refleksje zmęczonego

Dalszy ciąg ze str. 1

scowego koła ZSL, które najbardziej spośród organizacji politycznych i społecznych w Kolumnie interesowało się kulturalnym rozwojem osiedla — o opiekę nad estradką. Inicjatywa chwyciła, utworzono teatr amatorski, który po kilkumiesięcznej pracy okazał się najlepszy na powiatowym przeglądzie teatralnym. Repertuar? — „Matka" Szaniawskiego, „Ulana" wg powieści Kraszewskiego. Miejsce pracy? Szkoła podstawowa nr 2, nowy okazały budynek. Czas? A właśnie. Wieczorami — w dnie, kiedy aktorzy nie uczą się w szkole wieczorowej, zespół ćwiczy nierzadko do godz. 23, potem dokonuje niebywałej ekwilibrystyki w poszukiwaniu materiałów scenograficznych, zestawia kilkanaście stołów w sali gimnastycznej jako scenę, i propaguje występ wypróbowaną metodą: afisz. Wreszcie dzień próby, duża trema, nieprzygotowana publiczność („głośniej, głośniej!") wreszcie sondowanie opinii o spektaklu, podobało się, ale „nie możecie coś wesołego, łatwiejszego"?

Jak tedy spędzam „czas wolny"? Od rana — lekcje w szkole, jeszcze 3 godz. w świetlicy — dorabianie zajęciami dodatkowymi staje się w nauczycielstwie już nie tylko koniecznością, staje się charakterystyczną cechą: nie pracujesz dodatkowo? Za 1000 zł utrzymujesz rodzinę? Podejrzane... Jeszcze przygotowanie na dzień następny (już „nie obowiązuje", uczę 10 lat, ale nie wiem, czy nauczanie języka polskiego w sposób wyłącznie rzemieślniczy bez eksperymentowania dałoby mi zadowolenie).

Potem — „czas wolny": próby zespołów artystycznych, zebrania, czasem zdąży się na kawę. A kiedy czytanie? Późnym wieczorem, ograniczone prawie do pism literackich. No, a już zupełnie w nocy — piszę.

Powie ktoś: po co się szarpiesz, tyle srok za ogon trzymasz? Jak długo tak można? Nie wiem. Bo z czego zrezygnować? Z teatru amatorskiego, z propagowania pięknej polszczyzny w zachwaszczonym języku środowiska? Z prób wypowiedzi własnego widzenia świata — z wierszy czy prozy?

Nie mogłem, cóż by pozostało? Spokojny żywocik domatora? Trochę to za mało. Rezygnować? Raczej szukać czasu — czasu na czytanie, na spotkania ze środowiskiem twórczym, na działanie w Korespondencyjnym Klubie Młodych Pisarzy, na prawdziwy teatr, na dyskusje, wieczne dokształcanie się, na obserwację życia, na języki obce, na życie osobiste, rodzinne...

Wiele z tych pragnień dałoby się zrealizować właśnie w lepiej kulturalnie rozwiniętym środowisku. Nawet takim jak Kolumna. Zbuduje się w końcu nieszczęsne kino. Nie ustaniemy w naleganiu władz o pomoc w uruchomieniu młodzieżowej świetlicy. Jest biblioteka i czytelnia — jedna nie najlepiej zaopatrzona, druga niewykorzystana. W lipcu 1962 r. otwarto kawiarnię o wdzięcznej nazwie „Jagódka", na którą Robotnicza Spółdzielnia Zaopatrzenia i Zbytu w Kolumnie wyłożyła 300 tys. złotych. Czterej członkowie „Grabi 59" grali w „Jagódce" trzy razy w tygodniu. Tłok na parkiecie i przy stolikach pod parasolami oraz w dwóch salkach estetycznie urządzonych. Władze spółdzielni i ci, dla których kawiarnia jest nadzieją na kulturalny wypoczynek, obmyślają sposoby mogące utrzymać kawiarnię na odpowiednim poziomie, żeby nie zmieniła się w jeszcze jedną knajpę — jak letni bar nad rzeką, zwany w żargonie mieszkańców barem „Pod bykiem".

A mnie marzy się, żeby w okresie zimowym, kiedy potańcówek nie ma, spotykać się w „Jagódce" choć raz w tygodniu z dobrze opracowanym programem artystyczno - rozrywkowym, żeby zaprezentować własne piosenki (mamy już takie) żeby kiedy indziej dać gościom pół godziny recytacji, powiedzmy Broniewskiego czy Jesienina, żeby czasem przyjechał tu pisarz... I macie: otworzyli kawiarnię, a już ten fakt stwarza okazję do roboty nad wykorzystaniem wolnego czasu. Oczywiście te marzenia, zamierzenia, plany są realne, mimo to nie sądzę, aby się dały choć w części wykonać: może największą przeszkodą będzie brak pieniędzy — choćby na honorarium dla zaproszonego pisarza. Nie biorę w tym względzie pod uwagę naszych miejscowych aktorów czy autorów tekstów, muzyki, opracowań scenicznych, oni robią to „dla idei", choć wcale im to pracy nie ułatwia.

Jak spędzają wolny czas inni kolumnianie? Ci, których nie interesuje w takim stopniu teatr czy piosenka? Różnie. Łowią ryby. Grają w brydża. Godzinami patrzą w telewizory. Pogodną niedzielą wysiadują trawę przy rzeczce. Czytają książki — biblioteka ma zarejestrowanych ok. 1000 czytelników. Sporo czasu poświęcają czarowi dwóch i czterech kółek. Kobietom czas wypełnia się raczej tradycyjnie: bieganie po sklepach, stanie w kolejkach, cały system zajęć domowych. Stosunkowo niewiele kobiet ma ambicje i czas na czytanie czegoś wiecej niż niektórych rubryk „Przyjaciółki". O wiele wiecej jest takich, które wykazują niewiarygodną wprost wyobraźnie w tworzeniu fam i plotek.

A młodzież? Latem albo wyjeżdża, albo wałęsa się. Zima pozostaje to ostatnie i telewizja. Klub sportowy rozleciał się. Młodzieżowy także. Dla atrakcji bywają jakieś porachunki na zabawach, nie kończące się rozmowy o babkach i ich podrywaniu, niektórzy dla zabicia czasu jeżdżą pociągiem do Łodzi i z powrotem. Mowa tu o tych, co nigdzie nie pracują, a edukację ukończyli na 7 klasie szkoły podstawowej. Dla wyraźniejszego obrazu należy dodać, że większość tych ludzi jest bardzo zdolna. Niewielu też weszło w kolizję z prawem.

Co można zmienić w opisanej sytuacji? Mówiłem wyżej o niewykorzystanych lub mało wykorzystanych możliwościach. Są jeszcze inne. Realne wydaje się reaktywowanie klubu sportowego, trzeba jednak zbudować boisko. Stare, piaszczyste zabrano pod budowę, długo „nie było" innego placu, teraz plac jest, boiska — ciągle nie buduje się. Jest w Kolumnie staw z wysepką pośrodku, mogłaby jakaś bogatsza instytucja zaopiekować się tym: oczyścić, kupić kilkanaście kajaków, ustawić domki campingowe, zbudować muszlę, zradiofonizować — o ileż imprez wzbogaciłaby się wtedy Kolumna.

Są też warunki do utworzenia klubu inteligencji, choćby przy czytelni. Może taki klub stałby się motorem w organizowaniu właściwego wypoczynku? A jeszcze trzeba by zbudować plażę i kąpielisko — rzeka jest niewielka, wodę ma przecież czystą, bieżącą, i nie brak amatorów kąpieli.

Tak, ale ci, którzy porwali się na próby rozruszania życia kulturalnego w Kolumnie i jeszcze nie odeszli od tej pracy wskutek zniechęcenia — są, łagodnie mówiąc, zmęczeni. Bo są najczęściej zdani na własne siły. Bierność władz i atmosfera oczekiwania, już te dwa czynniki każą mniemać, że prędzej człowiek wyląduje na Księżycu, niż spełnią się marzenia fanatyków typu niżej podpisanego. Obym się mylił. Wyszłoby to najmłodszemu pokoleniu mieszkańców Kolumny na korzyść.

RAFAŁ ORLEWSKI

ANDRZEJ MAKOWIECKI

BALLADY o saksofonach (II)

Kawiarnie, restauracje i bary — ulubione miejsca spotkań starszych i młodzieży, ulubiona forma rozrywki. W nich to właśnie zaczynają się kariery niemal wszystkich sławnych dziś gwiazd piosenki, trąbki i saksofonu.

W nich startował skromny, amerykański fryzjer Perry Como i wątły, wrażliwy Murzyn Nat „King" Cole, młody Armstrong i nieśmiały Bing Crosby, w nich zbierały pierwsze brawa Anne Cordy, Eartha Kitt i legendarna już dzisiaj Josephina Baker i jeszcze wiele, wiele innych, nie mniej znanych znakomitości piosenki, muzyki i tańca.

Ale ja nie znam sławnych europejskich (i nie europejskich) lokali, a tych, którzy w nich występowali i występują znam tylko ze słyszenia: z płyt, prasy, radia, z barwnych opowieści kolegów szczęśliwców.

Za to w ostatnim tygodniu nieźle zapoznałem się z łódzkimi lokalami i to nie tylko tymi, które leżą w sercu miasta. Byłem bowiem także w widzewskiej „Rusałce", bałuckiej „Popularnej", „Nowomiejskiej" (obecnie remontowane) i niesławnej acz eleganckiej „Arkadii".

Długie wieczory spędzone na słuchaniu grających orkiestr i obserwowaniu tańczących par dały mi wiele do myślenia, pozwoliły także na wyciągnięcie z poczynionych obserwacji pewnych wniosków. Otóż doszedłem do przekonania, że w 90 proc. dobra lub zła gra zespołu uzależniona jest wyłącznie od tancerzy i słuchaczy; ich zachowania, poruszania się i reagowania na muzykę. O dobrej czy złej grze orkiestry można jednak mówić tylko wówczas, gdy orkiestra w zasadzie jest dobra, to znaczy stać ją przy odpowiednich, sprzyjających warunkach na rzeczywiście dobrą produkcję. Za taką orkiestrę można uznać zespół Krochmalskiego. W czasie gdy występował on jeszcze w czterech ścianach przystojnego „Simu", grał poprawnie, bo poprawnie zachowywali się bawiący. A dziś? Dzisiaj zespół „Krochmalski and his boys" występuje w ogródku „Tivoli". O pijakach i awanturnikach z ogródka pisał niedawno „Dziennik", toteż ich widok nie zaskoczył mnie specjalnie, bo w końcu pokażcie mi restaurację, w której ich brak. Zaskoczyła mnie jednak ich ilość i agresywność, ich całkowite panowanie na małym, otoczonym barierką parkiecie. „Jak się Murzyn urżnie, wtedy tańczy różnie" — mówią słowa parodii amerykańskiej piosenki. Różnie też tańczą w „Tivoli" pijani Polacy. Potrącają się wzajem, rozpychają, wrzeszczą i drepczą nie w rytmie. W takiej atmosferze czujny skądinąd, uważający na kiksy muzyk szybko traci poczucie odpowiedzialności, wyłącza się z gry kolektywnej, rozprasza, a w końcu — mając przed oczami absolutnie odpornych na działanie muzyki ludzi — dopuszcza się wsyp harmonicznych i rytmicznych, zapomina nawet, że dobrze go słychać na trzeźwej ulicy. Zespół Krochmalskiego „zapomniał się" tylko chwilowo. I można żywić nadzieję, iż wraz z obowiązującym porządkiem wróci do ogródka „Tivoli" dobra muzyka.

Krańcowo inne powody składają się na obojętny stosunek młodzieży do muzyki w „Popularnej" na Bałutach. Tu winę za ciężką, pełną grozy atmosferę sali ponosi przede wszystkim, no, jakby to określić... kapela.

Czegoś podobnego nie słyszałem jeszcze nigdy. Ten 3-osobowy, grający bez fortepianu — na wzór Gerry Mulligana — „zespół" nie mógłby konkurować z żadnym snobującym się na jazz zespołem wiejskim, a jeśli już, to chyba pod względem niskich, a przeraźliwie donośnych, zagłuszających akordeon i saksofon, uderzeń w bęben.

Do dziś nie jestem jeszcze pewien czy saksofon grającego w „Popularnej" artysty miał stroik i klapy, w każdym razie jestem głęboko przekonany, że w całej Łodzi nie usłyszę nigdy więcej tak znakomicie wyrażonego buntu przeciwko strojowi temperowanemu. Od męki słuchania wybawił mnie w ciekawy sposób pewien niezupełnie trzeźwy młodzieniec. Twierdził on mianowicie, że eksploatowany przeze mnie od godziny stolik był zarezerwowany. Siedzący przy sąsiednim stoliku znajomi poszkodowanego, najwyraźniej rozdrażnieni muzyką, groźnie przytakiwali głowami, toteż przeprosiłem ich i wyszedłem uszczęśliwiony z doszczętnie zapełnionej ale bardzo niechętnie tańczącej sali.

* * *

Ta zaczynająca tango i powtarzająca się w nim trzykrotnie kadencja nie chciała wyjść akordeoniście z „Jedynej". — „Ślepy Melody" jest lepszy — pomyślałem sobie zmagając się mimo woli wraz z akordeonistą z upartą, czarnobiałą klawiaturą instrumentu. Ale reszta czteroosobowego zespołu spisywała się nieźle. W „Jedynej" — byłem tu coprawda w dzień powszedni — panowała spokojna, przytulna atmosfera. W czasie pięciominutowej przerwy rozmawiałem z orkiestrą. Szczególnie interesowała mnie historia napadu na magazyn kawiarni, w czasie którego zrabowano kierownikowi zespołu gitarę.

Uchwała nr 827 Prezydium Rządu z dnia 15 października 1955 r. w § 10 mówi, że zakład zatrudniający muzyków zobowiązany jest wyznaczyć im właściwie zabezpieczone pomieszczenie na instrumenty, w wypadku zaś kradzieży lub zniszczenia ich, wypłacić muzykom pełne odszkodowanie. Tymczasem jak się okazuje, mimo usilnych starań poszkodowanego oraz interwencji Związku Muzyków sprawa gitary do dzisiaj nie jest załatwiona. Fu, nieładnie! Najwyższy czas, aby kierownictwo „Jedynej" wywiązało się ze swych zobowiązań.

* * *

Z orkiestr zatrudnionych przez Łódzkie Zakłady Gastronomiczne na wyróżnienie zasługują: Zespół Pytlaka (restauracja „Malinowa"), Czajkowskiego („Sim") oraz trzy stosunkowo młode zespoły z „Agawy", „Balatonu" i „Pałacyku" — zespoły przejęte jazzem, bardzo ambitne, potrafiące zainteresować nie tylko tańczących, ale również słuchaczy, o których dyrekcje Łódzkich Zakładów Gastronomicznych zupełnie ostatnio zapomniały. Szczególnie rzuca się w oczy (i w uszy naturalnie) brak piosenkarek i piosenkarzy, których obecność mogłaby wybitnie urozmaicić repertuar dobrych zespołów, a tym samym doprowadzić do zmiany na lepsze często nudnego oblicza kawiarni czy restauracji. Pod tym względem zdecydowanie dystansuje nas Warszawa. Nie chodzi mi bynajmniej o występujących w „Bristolu" solistów zagranicznych, ani też o zagraniczne zespoły z „Grand Hotelu" (gra tam obecnie doskonały kolektyw węgierski). Mam na myśli polską piosenkę, a taką — i to w dobrym wydaniu — można usłyszeć „Pod gwiazdami", w „Kaprysie", w „Europejskim" i „Nowym Świecie". W tym ostatnim ma powstać ponadto Kabaret Piosenki, którego zadaniem będzie popularyzowanie dobrych polskich tekstów i melodii za pośrednictwem najzdolniejszych uczniów i uczennic ze „szkółki piosenkarzy" Ludwika Klekowa.

A może i w Łodzi znalazłby się ktoś chętny do zorganizowania takiej szkółki? Naprawdę, bardzo się przyda! Zaś kandydatów do nauki w niej na pewno nie zabraknie.

* * *

Dla stworzenia dokładnej charakterystyki łódzkiego środowiska muzyki użytkowej koniecznością wydaje się socjologiczne ustalenie pochodzenia rycerzy lekkiej muzy. Z tym zadaniem postaram uporać się innym razem.

Fot. J. Głowacki

informacje i zaczepki

Wciąż brak wykwalifikowanych pracowników kulturalno - oświatowych. Często pracą w kulturze zajmują się ludzie nawet z pasją i zapałem, ale bez odpowiedniego przygotowania. Tym właśnie niewykwalifikowanym pracownikom przychodzi z pomocą Towarzystwo Wiedzy Powszechnej organizując Korespondencyjne Stud. Oświaty i Kultury. Zapisy do połowy lipca przyjmuje Zarząd Wojewódzki TWP — Łódź, Piotrkowska 8.

●

Ostatnio coraz częściej spotykamy reklamy zachęcające do kupna miniaturowych odbiorników radjowych „Koliber". Zachęceni reklamą kupiliśmy odbiorniki i radzi byśmy się dowiedzieć, gdzie w Polsce można kupić do nich bateryjki. I co na to nasi przesławni handlowcy?

●

„Dni Teatru Studenckiego" pragnie urządzać co roku w Łodzi Rada Okręgowa Zrzeszenia Studentów Polskich. W czasie Dni występowałyby najlepsze studenckie teatry kraju. Jeśli zamierzenie się uda, nasze miasto będzie miało wreszcie swój doroczny festiwal teatralny. Marzą o takiej imprezie od lat wszyscy łódzcy miłośnicy Melpomeny.

●

Do roku 1966 wybudowanych zostanie w Łodzi 30 nowych szkół Tysiąclecia. Powstaną one dzięki wysiłkowi społeczeństwa naszego miasta, które na konto Społecznego Funduszu Budowy Szkół wpłaciło już wiele milionów złotych.

●

Wicepremier Zenon Nowak udzielając wywiadu „Polityce" bardzo pozytywnie wyrażał się o Łodzi. Oto co mówił na temat biurokracji: „Działacze łódzcy na przykładzie jednego podania o plac pod budowę domku jednorodzinnego stwierdzili, że petent musiał odwiedzić trzynaście różnych okienek. W Łodzi postanowiono uprościć całą procedurę". I rzeczywiście. W łódzkich organach rad narodowych jest ostatnio coraz lepiej.

J. W.

WILLIAM LINK

NIC NIE PAMIĘTAM

Samochód w ostatniej chwili przyhamował i skręcił, mimo to uderzenie miało taką siłę, iż odrzuciło go aż na brzeg chodnika. Odruchowo wyciągnął ręce i to złagodziło trochę upadek, lecz i tak na parę sekund stracił przytomność. Potem ujrzał nachylone nad sobą twarze i usłyszał gwar podnieconych głosów.

— Trzeba mu pomóc, niech ktoś wezwie pogotowie.

— A tamten drań uciekł: dał gazu i prysnął.

— Czy ktoś zanotował numer rejestracyjny?

Leżał na ławeczce, słońce świeciło mu prosto w oczy. Gapie otaczali go ciasnym kręgiem. Usiadł z wysiłkiem, bolało go całe ciało.

— Lepiej niech się pan nie rusza — powiedział jakiś facet w wiatrówce — za minutkę będzie tu pogotowie.

— Nie — powiedział — nie. Nic mi nie jest.

Powstał, nie przyszło mu to łatwo. Zatoczył się.

— Wszystko widziałam — szczebiotała mu nad uchem utleniona dziewczyna — przechodził pan „zebra", auto miało za dużą szybkość i tak się to stało...

— Niech pan poczeka na pogotowie — radziła starsza jejmość — lekarz powinien zbadać, czy nic ma pan jakichś wewnętrznych obrażeń.

— Nic mi nie jest — powtórzył, choć utrzymanie równowagi sprawiało mu trudność — to głupstwo...

Ktoś podał mu kapelusz, oczyścił go rękawem.

— Dziękuję — powiedział — nic mi się nie stało. Muszę już iść.

Pierścień gapiów się otworzył, przeszedł pośród tłumu jak korytarzem. Stawiał kroki ostrożnie i niepewnie. Ból już zanikał, piekły tylko dłonie otarte aż do krwi i zadrapanie na skroni. Poza tym nic mu nie dolegało.

Za pierwszą przecznicą przystanął, zapalił papierosa.

— No tak — pomyślał — niewiele brakowało... Ale muszę się spieszyć. Mam umówione spotkanie.

Jakie spotkanie?

Nagle zdał sobie sprawę, że niczego nie pamięta. Że nie pamięta nawet kim jest. Zdjęła go panika. — Bzdura — pomyślał — zaraz mi przejdzie. Po prostu szok. No więc? Kim jestem?

Nie, nie mógł sobie przypomnieć. Odrzucił papierosa i ruszył przed siebie, usiłując się skupić, ale pamięć nie powracała. Nie wiedział nawet czy był już kiedyś w tym mieście — teraz tak obcym — czy szedł kiedyś już tą ulicą. Przystanął przed jakąś wystawą i w niej, jak w lustrze, obejrzał swą twarz: młodą, zwyczajną bez wyrazu. Wydawała mu się obca, nieznajoma.

— To przestaje być zabawne — pomyślał — czytałem kiedyś o czymś takim w gazecie. Amnezja?

Przez chwilę usiłował sobie przypomnieć swój zawód. Prawnik? Kupiec? Nie pamiętał i tego, nie pamiętał czy jest bogaty czy biedny, nie pamiętał czy jest samotny czy ma rodzinę. Niczego nie pamiętał.

Nagle olśniło go: portfel! Tam znajdzie dokumenty, może i zdjęcia. Przeszukał w gorączkowym pośpiechu kieszenie: pęk kluczy, długopis, chustka do nosa. Portfelu nie było. Zamiast niego szeleściła w palcach koperta. Otworzył ją i wyciągnął nowy, sztywny banknot tysiącdolarowy i kartkę papieru z trzema wierszami napisanymi na maszynie:

Dr Ralph Mannix
ul. Wschodnia 86
II klatka schodowa, VI piętro.

Mannix? Nazwisko to niczego mu nie mówiło, ale teraz wydało mu się jedynym punktem zaczepienia. Poszukał najbliższej tabliczki z numerem domu i spostrzegł, że idzie właśnie ulicą Wschodnią. Stał chwilę na środku chodnika, chcąc zorientować się w numeracji, potem zawrócił i w gorączkowym pośpiechu, roztrącając przechodniów, pobiegł przed siebie.

W poczekalni pielęgniarka wystukiwała coś jednym palcem na maszynie do pisania. Oparł się oburącz o biurko i spytał ochrypłym głosem:

— Czy doktor Mannix przyjmuje?

Spojrzała na niego oczami pozbawionymi wyrazu.

— Czy pan jest umówiony?

Zawahał się:

— Nie wiem.

— Pana nazwisko?

— Gdybym to wiedział, nie przychodziłbym tutaj!

Jego wybuch sprawił, że w chwile później stał przed nim sam doktor Mannix, niski, w białym kitlu, szpakowaty, o smutnych, ciemnych oczach i ogromnych, piegowatych rękach.

— Czy pan mnie zna, panie doktorze?

— Nie... chyba nie. Czemu pan o to pyta? — i nie czekając na odpowiedź Mannix już go prowadził do gabinetu. — Pan krwawi, tę ranę na głowie trzeba zaraz opatrzyć.

Biały pokój, pełen zapachu eteru i karbolu, szkło, chrom, porcelana. Doktor Mannix nachylony, z twarzą w cieniu, w jego rękach jakieś narzędzia, tampony.

— Ma pan szczęście — mówi matowym głosem — rany nie trzeba szyć. Nic, nic, to musi trochę piec. Ale zaraz przejdzie. Pięć minut później już by pan mnie nie zastał. Właśnie kończyłem na dziś prace. Więc jak się to panu przytrafiło?

— Nie wiem, nie pamiętam nawet kim jestem.

Doktor Mannix wyprostował się, odstawił butle z eterem. — Słucham, niech pan opowiada.

— Miałem wypadek, potrąciło mnie auto. Straciłem na chwilę przytomność. A potem jak zwykle: zbiegowisko, gapie. Przyszedłem do siebie, wstałem o własnych siłach. Dopiero po chwili uświadomiłem sobie, że niczego nie pamiętam.

Drzwi do gabinetu uchyliły się i zajrzała pielęgniarka.

— Czy będę jeszcze panu potrzebna, panie doktorze?

— Może pani już iść, pani Shermann — powiedział Mannix i poczekawszy aż się drzwi za nią zamkną, powiedział do pacjenta.

— Chwilowy zanik pamięci na skutek wstrząsu. Ale ma pan normalny puls. A nudności, zawroty głowy?

— Nic takiego nie czuję.

— Mimo to trzeba by prześwietlić. Bez tego trudno mi postawić pewną diagnozę. A dlaczego przyszedł pan właśnie do mnie?

— W kieszeni znalazłem kopertę, a w niej banknot tysiącdolarowy i kartkę z pana nazwiskiem.

— Z moim nazwiskiem?

— Tak. W pierwszej chwili pomyślałem, że może to ja jestem tym doktorem Mannix. A potem przyszło mi do głowy, że może pan będzie mnie znał, no bo skądże bym inaczej miał pana adres i ten banknot w kieszeni. Dlatego tu przyszedłem.

Doktor Mannix podszedł do okna, twarz miał znów w cieniu.

— To dziwne — powiedział — to doprawdy bardzo dziwne. Bo ja pana nie znam — nagle ożywił się.

— Już wiem: pewnie któryś z moich pacjentów dał panu mój adres.

— Może — powiedział pacjent. — Więc co pan mi radzi doktorze?

Mannix namyślał się chwilę.

— Powinien pan zgłosić się na policję. Oni załatwiają takie sprawy. Umieszczą

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

NIE MA POWROTU

Własny domek, własne grządki i drzewka własne, kopiesz własną ziemię na wiosnę, palisz jesienią zeschłe liście, zimą dłubiesz sobie w starych zegarach. Moja teściowa popiera moją żonę, a jej teściowa, popiera mnie i wszyscy się kłócą do kogo podobne są dzieci. Popatrz ile minęło lat, a ja wciąż jeszcze nie żyję, tylko myślę i myślę na jakie życie powinienem się zdecydować.

— Co to ma wspólnego z Wołgą?

— Dużo. On sobie nie pożycza cudzych światków, jest poza konwencjami, on ma swój świat, a raczej chce go zrobić i wie dokładnie jak. Reformę rolną się zrobi, paniczyki postrzelają trochę, ale chłop ziemię weźmie, bo potrzebuje. Patrz, Konradzie, jakie to logiczne, chłop rzeczywiście szuka ziemi. Nadmiar ludzi odpływa do szkół, nabuduje się dużo szkół. Dlaczego się nabuduje? Dlatego, że na wsi jest przeludnienie. Cholerna logika! Na południu powiatu będzie rosła sama cebula i, zdaje się, buraki, bo ziemia dobra, a na północy sady, bo ziemia zła. Nie ma większego uroku od prostego rozumowania. W Ostachowie wielka cegielnia, bo glina na miejscu, w pałacu szkoła rolnicza, albo liceum ogólnokształcące, stawy muszą dawać duży dochód z ryb. Rzeczywiście, duże stawy, dobre warunki, a nikt o dochodzie nie pomyślał. Zrozumiej, że on wszystko wie, wszystko obliczył, wykombinował dokładny przepis na uszczęśliwienie ludzi, cholernie konkretny facet!

Słońce przesunęło się po niebie, gorąca smuga przebiła gąszcz i zamknęła Konradowi oczy.

— Proszę cię, nie mów o tym człowieku!

— Muszę. Wołga potrafi wyliczyć, ile kwintali da pole, ile jajek zniosą kury, co urodzi jabłoń. Jako fizyk i matematyk twierdzę, że taki rachunek ma ręce i nogi.

Konrad podniósł się gwałtownie, lecz ból pozbawił go równowagi. Byłby upadł, gdyby nie Marek.

— Czego wariujesz, boli cię?

— Boli mnie to, że nie rozumiesz naszej klęski.

— Droga do Kosierad wolna — powiedział Dyszel. Stał za młodą sosną i przyglądał im się uważnie.

Boczną drogą dotarli do Kosierad. Dyszel pozostał w pierwszej z brzegu chałupie. Kukułka i Marek podtrzymywali Konrada. Marek przemyślał dokładnie rozmowę z Socjalistą, od jej wyników zależały dalsze losy Konrada. Wszedł do pokoju bez pukania, bez słowa podbiegł do Socjalisty i uścisnął go serdecznie.

— Deo gratias, że żyjesz!

Kukułka wprowadził Konrada, posadził go na kanapie i wybiegł z pokoju. Po chwili wrócił z prezentami od Wołgi. Marek zrywał sznurki na pakunkach.

— No, kosieradzki Judymie, sięgnij jeszcze tylko do piwnicy, a wszystko będzie dobrze. Zagrycha jest! Aha, byłbym zapomniał, to jest dzielny wojak, towarzysz Kukułka!

Socjalista roześmiał się. Obu przyjaciół Justyna polubił od pierwszej chwili, domyślał się też, po co przyszli do Kosierad. Uścisnął rękę Kukułki.

— Prawdziwe braterstwo ludów pod skromną strzechą. Panowie akowcy, towarzysze komuniści i obywatele z bechą! Trudno o bardziej dobrany komplet, stawiam z tej okazji pół litra!

Spiżarnia Socjalisty mieściła się pod łóżkiem, zapasy obejmowały trzy noże, tyleż łyżek i widelców oraz flaszki z wódką. Reszta należała do żony Filozofa, ale Socjalista bał się wyjść do kuchni i prosić o chleb. Wiadomo, Drzymkowa nie lubi żartów, skonfiskuje wódkę i przyniesie czerwonego barszczu, żeby krwi przybywało. Wołga jakby przewidywał te trudności, na stole pojawił się potężny kawał kaszanki i młode, kiszone ogórki.

Po drugiej flaszce Socjalista miał już dobrze w czubie. Pił, gdyż chciał zapomnieć o świecie. Śmierć żołnierza w podręczniku historii, czy literatury i ta sama śmierć z punktu widzenia zwykłej chłopki z Kosierad, która nie wie nic o Grunwaldach, Obertynach, Cecorach i Chocimiach — ładne zestawienie co? Za jedną i za drugą śmierć odpowiada w jakiejś mierze nauczyciel, musi je odpowiednio przedstawić, zinterpretować zgodnie z wymaganiami planu dydaktycznego uzasadnić nie tylko konieczność śmierci, ale nawet jej opłacalność. To się udaje, jeżeli mowa o dawnych wiekach i dalekich miejscach, każdy nieznajomy nieboszczyk może być wielki. Ale znajomy, najbliższy, syn?

— Mam w dupie bohaterstwo — powiedział głośno.

Marek nie wznosił już toastów, łykał kieliszek po kieliszku i pokrzykiwał.

— Pił zdechł, nie pił też zdechł! Pijcie bracia z panem Jezusickiem!

Konrad położył się na kanapie i prawie natychmiast zasnął. Kukułka był już pewnie daleko. Pożegnał się zaraz po pierwszej flaszce. Socjalista pił wódkę i słuchał Marka.

— Jak ludzie za dużo nabroją, zjawia się nagle wielki dozorca i zamiata świat, kapujesz?

— Kapuję.

— Wymiata śmieci, ale za każdym razem są inne śmieci, bo by świat stał w miejscu, jakby były te same, jasne, chłopski nauczycielu?

— Jasne, filozofie, całkiem jasne, ale ty uważasz, że i w śmietniku można znaleźć skarb?

Marek opuścił głowę. Konrad zajęczał we śnie.

— Nie mam nikogo prócz niego, pomyślałem sobie, że mogę go zostawić u ciebie...

— Za dużo gadasz. Kiedy przyjdziesz?

— Nie wiem, może za miesiąc, może za dwa, ale przyjdę po niego. Przeszwarcuj go do nowej Polski, uda ci się, jesteś ludowy nauczyciel, ty możesz, ja nie.

* * *

Marek podniósł głowę. Gruby konar zwisał dość nisko nad głową, gdyby się tak dobrze rozpędzić i we właściwym miejscu podskoczyć, można go było schwycić rękami.

— To tu było?

— Tu, masz pewnie do mnie żal.

Socjalista przysiadł na kamieniu. Szła wiosna, brudne płaty śniegu trzymały się jeszcze kurczowo cienistych miejsc, ale na polach osuszonych przez słońce podnosiły się już soczyste oziminy.

— Opowiedz mi wszystko, ale bez picu i bez dobrego serca.

— Co ja ci mam powiedzieć? Ważny był tylko ten jeden dzień. Reszta jesieni była tu niespokojna. Ekspedycja za ekspedycją, zagęściło się, Rosjanie zaczęli się ruszać na przyczółku sandomierskim, major zabrał gdzieś swoją grupę, ale uczniowie zostali. Wichury nie ma do dzisiejszego dnia. Sosna bił się parę razy, straciliśmy jeszcze dwóch licealistów. Wołga poszedł w Góry Świętokrzyskie, a my uczyliśmy polityki dynastycznej Jagiellonów, zasady rów-

pana na razie w szpitalu i dadzą zdjęcia do gazet. Tak to się zwykle robi.

— Nie chcę policji — powiedział nerwowo pacjent — sam to jakoś załatwię. Pójdę do jakiejś prywatnej lecznicy. Chyba pan rozumie, doktorze: nie chcę temu nadawać rozgłosu.

— Dlaczego?

— Nie pamiętam jaki mam zawód. A nuż taki rozgłos potem mi zaszkodzi w pracy — tarł teraz nerwowo policzki. — Żeby chociaż przypomnieć sobie nazwisko. Po prostu nie do wiary: tysiąc dolarów w jednym banknocie i żadnych dokumentów, nic, puste kieszenie. Co pan o tym myśli?

Mannix rozłożył bezradnie ręce. Jego pacjent wstał gwałtownie z fotela, podszedł do okna. Stali teraz blisko siebie, twarzą w twarz.

— Czy ja odzyskam pamięć? — zapytał ochryple — niech mi pan powie prawdę, doktorze. Całą prawdę!

— Amnezja może minąć równie nagle jak przyszła — powiedział Mannix. — Wi-dzi pan, ten wstrząs musiał spowodować jakiś drobny wylew, jakieś chwilowe zablokowanie. Wystarczy, że ono ustąpi, ale trudno przewidzieć kiedy to się stanie. W każdym więc razie powinien pan poddać się leczeniu. I właściwie ja mam obowiązek zadzwonić...

— Chwileczkę — przerwał mu młody człowiek. Patrzył teraz ze szczególnym natężeniem na duże zdjęcie w srebrnej ramce stojące na biurku lekarza. — Kto to jest? — zapytał z dziwną intonacją w głosie.

— Moja żona — powiedział doktor Mannix. — Ale czemu pan pyta?

— Nie wiem — mruknął młody człowiek. — Nie wiem. A może ja mam też żonę?

Mannix popatrzył na zegarek.

— Kto wie, czy ona teraz właśnie o pana się nie niepokoi. Więc radzę zrobić tak: zadzwonimy po policję,

niech przyślą po pana wóz i niech się panem zajmą...

Ale młody człowiek nie słuchał go.

— Co za głupia historia — mówił sam do siebie. — Co za głupia historia... Nagle ruszył ku drzwiom. — Nie będę pana dłużej zatrzymywał, doktorze — powiedział już z ręką na klamce. — Jakoś dam sobie radę.

— Niech pan poczeka — zawołał Mannix. — Nie mogę pana tak puścić.

— W porządku! — powiedział młody człowiek. Wyszedł z gabinetu, nagle opanowany pośpiechem. Doznawał teraz ulgi: w czasie rozmowy z Mannixem męczyło go nerwowe napięcie, uczucie równie przykre, jak to, które poznał leżąc na ławce otoczony tłumem gapiów. A teraz coś się w nim odprężyło z taką siłą, że aż poczuł zawrót głowy i omal się nie przewrócił wchodząc do windy. Przed oczami miał znów zdjęcie z biurka doktora Mannixa. Uczynił wysiłek by sobie przypomnieć skąd zna twarz tej kobiety. I w olśnieniu, z ogromną radością spostrzegł, że oto wróciła mu pamięć.

Winda zjechała na dół, lecz młody człowiek nie wysiadł. Oparty plecami o ścianę, przymknąwszy oczy, poddawał się fali wspomnień zapełniającej pustkę, jaka jeszcze przed chwilą panowała w jego mózgu. Winda znów szła do góry, poczekał aż zatrzyma się i znajomym korytarzem poszedł w stronę gabinetu doktora Mannixa. Gdy bez pukania wszedł do poczekalni, lekarz właśnie gasił światło w pokoju przyjęć.

— Doktorze — powiedział. — Wróciło! Wiem wszystko.

— Cieszę się.

— Ruszyła winda, zakręciło mi się w głowie i nagle wróciła mi pamięć.

— I pamięta pan wszystko?

— Wszystko — młody człowiek powiedział to z naciskiem. — Pamiętam nawet skąd wziąłem te tysiąc dolarów. Dała mi je pana żona.

Oczy doktora Mannixa zrobiły się okrągłe ze zdumienia.

— Moja żona?

Młody człowiek uśmiechnął się do niego.

— A tak: pana żona! — powtórzył wesoło i sięgnął po leżący na biurku nóż do papieru. — Zapłaciła mi tysiąc dolarów za to, żebym pana sprzątnął...

Wg Hitchoock's Mystery Magazin (b)

MAREK WAWRZKIEWICZ

Archeologia

Żonie

W prehistorii naszej miłości jest las
Ciemniejszy o noc i szum w drzewach
Jak doszliśmy stamtąd Szukamy po latach
Po brzegi pełni siebie i cierpkiego snu,
Czujni jak śnieg na świerkach
Archeologia uczuć Tak powstała czułość
Z dotyku palców nocą i z dotyku ust
Światła pod powiekami ciepła rzeki włosów
Z kuli złotej kurczowo zaciskanej w rękach

I jest w nas jeszcze ból To nam zapisano
W mętnych źródłach w dymie wiosną lub jesienią
W schyłku dnia w mżących światłach My go mamy jeszcze
Niesiemy go z drżeniem rąk w srebrnych kroplach potu
Archeologia państwa bez jednej granicy
Naszej wielkiej ludzkości Co ziemia zabierze
Zabierze razem z nami i zabierze nas
I my pójdziemy razem
Niosąc z sobą cień
Swój ślad swoje miejsce radości i strach
Unosząc sen ze sobą
We śnie utopieni

* * *

W tym miejscu zaczyna się ból i ustają cienie
Jest struga świetlnych pyłków i cisza z metali
Wszystkie słowa jak kamień wpadają w milczenie
Plusk jeden i okrągły miękki odpływ fali

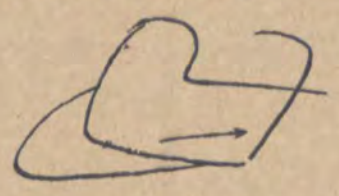

Ona jest perła

Ona jest perła. Ją od dna odcięto.
Odjęto ją muszli, gniazdu i mrokowi.
Krople żywicy w muszli. Kropla światła w cieniu.
To ziarno dostrzeżenia. To skroplony promień.
To jest żar zamarznięty. To pestka przypływu,
Zieleni i czerni. Głębokiego prądu.
Ją teraz do powietrza wyniesie, do słońca,
Do wyrównania proporcji przez fale.
Ona jest perła. Nie jest perłą teraz
Gdy przez wodorost myśli do fali ją niesie.
Z dna ciszy do dna muzyki,
Na piach czasu rzuci.
Czy ona jest perła?

Z tomu „Orzech i nimfa", który ukaże się nakładem „Czytelnika".

---

ni pochyłej i deklamowaliśmy: „Wer reitet so spaet durch Nacht und Wind", zresztą jeżdżą różni ludzie po nocach, kropią do siebie zza węgła. A ciebie nie było.

— Przestań chrzanić, gówno mnie to obchodzi!

— Konrada umieściłem u starego dziedzica Brzozy-Brzeziny, to był miły dziwak. Konrad dobrze czuł się u niego, grzebali razem w starych rupieciach, dogrzebali się nawet pokrewieństwa. Justyn przyszedł na punkt zborny w Miodowych Wzgórzach, ale was nie znalazł, został tam i uczył. Wiesz, że on się wcale nie zmienił, był kilka razy u mnie.

Marek cisnął papierosa na ziemię.

— Proszę cię jeszcze raz, nie picuj!

— Tego dnia staliśmy kupą przed dworem, Konrad i Brzoza tuż koło mnie, dalej Filozof, Pinkus, Kuternoga, czy był Samotnik tego ci nie powiem, po prostu nie pamiętam. Nadjechało rosyjskie działo pancerne, wyskoczył żołnierz. Mnie pocałował w czoło. Konrada i Brzezinę poklepał po plecach a następnie powiedział, że już nas więcej nie będą biły polskie pany. A potem zapytał, czy dobrze jadą na Berlin. Filozof odpowiedział, że dobrze, tylko koło młyna dziury. Podobali się nam ci czerwonoarmiści...

— Czy ja cię pytam o twoje przekonania polityczne?

— Chodź, bo zimno, będę ci opowiadał po drodze. Za działem nadjechały czołgi i samochody z piechotą. Dowódca postanowił przenocować. Drzymki, jak może wiesz, są bardzo gościnni, zabierali jednego po drugim, na placu pozostały tylko maszyny i wartownik, ale i jego podlewali bimbrem. Walentin, to ten, który nas całował poszedł w gościnę do Konrada i Brzeziny. Nie byłem tam, więc ci nie powiem o czym gadali. Konrad znał dobrze język rosyjski. To było przed południem. Po południu przyleciał Walentin, był na dobrej bańce i cholernie zadowolony. Z tego, co Walentin mówił, wynikało, że spotkał dwóch wybitnych komunistów, którzy przepędzili dziedzica i urzędują we dworze. Postawiłem pół litra, bo to było ciekawe. Wierzyć mi się nie chciało, ale Walentin mówił wyraźnie, że wspólnie zabierali się do przepędzenia reszty pomieszczyków i burżuazji. Pod wieczór przyszedł Kosiarz i powiedział, że Konrad i Brzezina powiesili się na jednej gałęzi. Pokażę ci teraz gdzie leżą.

Proboszcz z Kosierad nie wpuścił samobójców na cmentarz, leżeli więc samotnie za murem. Ksiądz ustąpiłby może z czasem kawałek poświęconej ziemi, ale nie zgodził się na to sierżant Antosiak, komendant posterunku milicji.

Przystanęli nad bliźniaczymi mogiłami. Dwie pryzmy piasku obłożone zeschłą jedliną, dwie drewniane tabliczki, dwa wieńce z papierowymi kwiatami, które zakupił Socjalista. Deszcze zmyły już część napisów na tabliczkach.

— Zapomniałem, kiedy urodził się Brzezina, u Konrada znać jeszcze daty.

— W czym ich pochowaliście?

— W całkiem porządnych trumnach. Brzezina miał swoją wcześniej, dębową, stała u niego w pokoju. Konradowi kazałem zrobić sosnową, nic innego nie było pod ręką, a ponieważ mam tu coś do powiedzenia, zamieniliśmy trumny. O zbutwieniu nie ma mowy, taka trumna przez pięć lat nie zbutwieje, jest czymś specjalnym przesycona, ciała też pewnie nie naruszone, w zimie procesy rozkładu nie zachodzą tak silnie, a to się stało w zimie.

— Jak masz tu coś do powiedzenia, to go przesuń o dwa metry.

— Nie mogę, zrozum, że teraz nie mogę. Póki komendantem jest Antosiak, nic się nie da zrobić. To jest Wilk, może ci opowiadałem, nie znosi mnie, bo go nie chciałem protegować do klasy licealnej, absolutny osioł był z niego.

Przystanęli pod remizą strażacką.

— Proszę cię, pilnuj interesów Konrada. Wrócę tu za miesiąc, albo dwa, może uda mi się znaleźć lepsze miejsce dla Tyzenhauza. Nie mam do ciebie żalu.

Pożegnali się bez słowa. Marek wsiadł na rower i odjechał w stronę Ostachowa. Socjalista pomaszerował na Kolonię pod Wiśniami. Szedł równym krokiem i rozmyślał. Jak zmienia bieg historia? Przyjeżdża brudny żołnierz na armacie, całuje cię w czoło, i już po wszystkim. Nie ma okupacji, nie ma tamtej Polski, jesteś obywatelem innego kraju. Zupełnie jak w kościele, klękasz przed głównym ołtarzem, wyciągasz język, ksiądz ci położy na języku biały opłatek i nie ma już grzesznika, jesteś przemienionym człowiekiem. Podobnie bywa w szkole, dyżurny zetrze tablicę mokrą gąbką i wszystko zaczynać trzeba od nowa.

Koło chałupy Pinkusa uświadomił sobie, że Franuś stoi bardzo kiepsko z polskim i niemieckim. Franuś nigdy nie chodził z partyzantami, był za słaby, mdlał kilka razy na lekcjach. Socjalista przyprowadził go osobiście do lekarza. Lekarz radził wyjechać w góry, najlepiej do Zakopanego, pieniędzy nie wziął, Pinkus należy do najbiedniejszych we wsi. Za kilka dni egzaminy, trzeba Franusia trochę podciągnąć, innych też. Córka Kuternogi jest bardzo zdolna, ale ma słabą pamięć. Wypadła z kołyski, trudno o to kogokolwiek winić, podczas żniw nie ma kto pilnować dzieci. Kazia od Pszczelarzów jest trochę inna, przypomina gąbkę, szybko nasiąka wiedzą, a po kilku dniach okazuje się, że gąbka znowu sucha. Z licealistami nie będzie poważniejszych kłopotów, Malwa i Kosiarz idą na czele. Jest już Polska, więc za kilka dni nie będzie już kosieradzkiego gimnazjum. Co po nim zostanie w tym sensie istotnym dla pojedyńczego człowieka? Kto po roku będzie pamiętał o swoim profesorze, od kogo dostanie ostatni list?

W domu na Kolonii pod Wiśniami oczekiwał go Filozof.

— Sto myśli, kochany profesorze, a rozumu ani jednego!

— Ładnie to pan powiedział.

— Tylko, że trzeba zaraz wyjechać.

— Kto ma wyjechać, ja?

— Przecie nie ja.

— Stało się co?

— Był milicaj od Antosiaka, czekają na profesora.

— Dobrze, zaraz lecę.

— Nie trzeba iść, tylko zapakować się, siadać na rower i do matki.

Socjalista zrozumiał, Filozof ostrzega go przed Antosiakiem.

— Ale o co chodzi, panie Drzymek?

— Antosiak węszy, szuka, słucha, kręci się, jakby miał wesz w zadku.

— No to co?

— Chamidło, straszak w kapuście boi się takiego. Niech profesor uważa, Drzymki wiedzą, co mówią. Skopów nie ma, ale i tak ludzie idą pod trawkę, tu nie pójdzie tak łatwo, hop byczku na krowę i już jest cielatko. Trzeba stąd jechać, Antosiak nie przepuści.

Do pokoju wpadła Drzymkowa.

— Niech profesor nie słucha tego bajoka. Naszym profesorem opiekują się święci, żeby nie oni, dawno by chodził bez nogi, albo wrócił do nieba, ty ancykryście! A lejce zeszyte? A drzewo jest? Wszystko zwali na moją głowę i za politykę się bierze. Chrystus zbawi świat, a nie ty!

Filozof wycofał się przezornie do kuchni. Socjalista oczyścił buty, włożył czystą koszulę i poszedł do posterunku milicji.

Antosiak przyjął go sztywno. Siedział na koślawym krześle za brudnym stołem. Po stylowych meblach Brzeziny nie zostało śladu. Znikły też piękne obrazy, nad głową Antosiaka wisiały portrety ludzi, których Socjalista nie znał. Kiepski ze mnie nauczyciel — pomyślał — nie mam pojęcia o historycznych postaciach. Antosiak wyłożył sprawę krótko.

— Zawiadomicie wszystkich uczniów, którzy byli w podziemiu, żeby za trzy dni zameldowali się w Ostachowie na komisji wojskowej. Trzeba się ujawnić. Wy się też tam zameldujecie.

Socjalista zaprotestował.

— Przecież dobrze wiecie, że za trzy dni mamy egzaminy. Dla waszej przyjemności profesorowie nie zjadą się po raz drugi, każdy chce wrócić do domu. Co za różnica: trzy dni, czy pięć?

Antosiak zerwał się z krzesła.

— Jeszcze kwartał nie minął, a wam się już Polska Ludowa nie podoba, co? Rozkazów władzy ludowej nie będziecie słuchać, Londynu się słucha, co?

Socjalistę rozsadzała złość.

— Zaniedbaliście się, Antosiak, w nauce, a teraz widzimy skutki. Polsce na pewno zależy na tym, żeby mieć więcej maturzystów, a wam nie.

Milicjanci, którzy stali w oknie odwrócili twarze. Socjaliście wydawało się, że ci ludzie są mu życzliwi.

* * *

Na tym kończymy druk fragmentów powieści W. Jażdżyńskiego „Nie ma powrotu".

Jak się rozwiązały losy bohaterów powieści — Czytelnicy mogą dowiedzieć się z książki pod tym samym tytułem, która już znajduje się we wszystkich księgarniach „Domu Książki".

odgłosy TYGODNIA

ANEGDOTY

Autentica szkolne

Młodego „suplenta" starsi koledzy brali w różne sposoby na kawał. Między innymi wmówili weń zaraz z początku służby, że dyrektor za każdą hospitację pobiera od nauczyciela po 3 korony. Młody adept pedagogii, któremu dyrektor prawie co lekcja właził do klasy, zaczął coraz bardziej posępnieć, aż wreszcie raz wybuchnął wobec kolegów przy końcu miesiąca:

— To przecież okropne! Będę musiał oddać dyrektorowi całą pensję miesięczną i jeszcze dołożyć z z kieszeni 26 koron.

■

— Skąd panu koledze wiadomo, że to właśnie za panem uczeń wołał: „Leoś idiota"? — uspokaja dyrektor profesora, skarżącego się przed nim na ucznia.

— Panie dyrektorze, przecież za nikim innym tak wołać nie mógł.

■

Poświadczenie.

Ponieważ żona moja jest chora i leży w łóżku, przeto syn musiał pozostać w domu, aby pójść z nią po sprawunki do miasta. Proszę o usprawiedliwienie opuszczonych godzin.

Trudny początek

Przyjechało ich tu stu osiemdziesięciu. Z różnych szkół, ogólnokształcących i zawodowych województwa łódzkiego. Telepało się tych stu osiemdziesięciu z wielu miast i miasteczek województwa, telepało się kawał świata, bo aż do Sławy Śląskiej, położonej w Zielonogórskiem. W przedziałowanych pociągach, drogą przez mękę, lecz po słońce i wypoczynek. Z walizkami, z plecakami, zmęczeni tłokiem, upałem i długą podróżą wylądowali wreszcie na miejscu przeznaczenia, marząc o łóżku i śnie. Tymczasem, komendant obozu nie bardzo wiedział, co ma z nimi zrobić. Wina to nie komendanta, ani też kadry, która przyjechała do Sławy kilka dni przed rozpoczęciem obozu i w pocie czoła sprzątała, remontowała, szykowała na przyjęcie uczestników domki campingowe. Tu nawaliła odgórna dystrybucja. Ktoś zapomniał o tym, że powinien do obozu wypoczynkowo-szkoleniowego KW ZMS z Łodzi przysłać niezbędny, a brakujący i zamówiony na długo przed tym sprzęt: namioty, materace, łóżka polowe, koce, prześcieradła, poduszki, itp. Bagatela, zapomniał. Zdarza się w najlepszej rodzinie. Miał je nadesłać do dnia 28 czerwca, zaś do dnia 4 lipca, kiedy wyjeżdżałam ze Sławy Śląskiej, jeszcze ich nie raczył przysłać. Nie przypomniał sobie po prostu.

Chciało się więc w tym pierwszym dniu pobytu na obozie płakać i komendantowi, i uczestnikom. Komendant musiał dwoić się i troić, aby gdzieś, z obcych instytucji pożyczyć konieczny sprzęt. Inaczej część młodzieży nocowałaby tego dnia na... walizkach.

Dzięki wysiłkom komendanta młodzież nie nocowała na walizkach. Pożyczył bowiem sprzęt od miłosiernych ludzi, lecz wciąż czekał na ten obiecany przez KC ZMS. Czekał, a może nawet i czeka wciąż dotąd. KC ZMS w miejsce obiecanych — 80 łóżek polowych, 240 koców, 160 prześcieradeł, 80 poduszek, sprzętu sportowego wreszcie przysłał jedynie 10 namiotów i 80 dmuchanych materaców. Całe szczęście, że jest ciepło i że pogoda dopisuje, śpiącej więc na materacach młodzieży nie grozi zapalenie płuc. Co by było jednak, gdyby?... — lepiej nie myśleć.

Ale wszystko jest dobre, co się dobrze kończy. Tak i w tym wypadku. Nic jednak nie zwróci niepotrzebnie straconych nerwów i niepewności, na jaką naraził cały obóz KW ZMS jakiś mocno zapominalski pracownik odpowiedniego wydziału w instancji ZMS. A ponieważ do Sławy Śląskiej jeszcze dwukrotnie będzie przyjeżdżać młodzież zetemesowska na pozostałe turnusy, niedopatrzenie można wyrównać, odpowiedni zaś wydział zrehabilitować. Niechaj już komendant zachowa swoje nerwy na inne okoliczności, (a takich na obozie nie zabraknie), i niechaj już młodzieży nie straszy wizja spania na... walizkach.

SYLWETKI AKTORÓW ŁÓDZKICH

HANNA BEDRYŃSKA

HANNA BEDRYŃSKA — jedna z najpopularniejszych aktorek łódzkich, zadebiutowała w Teatrze Polskim w Poznaniu. Grała tam wiele głównych ról, zdobywając publiczność przede wszystkim świetnym wykonaniem Klary w „Zemście" i Mirandoliny.

W roku 1951 wystartowała na deskach Teatru Nowego w Łodzi. Gra dużo, zbierając zasłużone oklaski widowni.

Tę znakomitą, o ujmujących warunkach aktorkę pamiętamy z wielu kreacji jak: Katierina w „Burzy" — Ostrowskiego, „Dziewczyna z dzbanem" Lope de Vegi — rola tytułowa (186 przedstawień), Joanna („Noc listopadowa"), Zuzanna („Wesele Figara"), Masza w „Trzech siostrach", „Żabusia" i „Ladacznica z zasadami" (patrz zdjęcie) grana do dziś — 110 razy. Rolą tą zdobyła I miejsce w plebiscycie na najlepszą aktorską kreację roku. Równolegle z dużym powodzeniem w teatrze, współpracuje z Telewizją i Radiem. Za całokształt pracy artystycznej Hanna Bedryńska odznaczona została Srebrnym Krzyżem Zasługi.

Tekst i zdjęcie: GERARD PUCIATO

Ojciec, syn, piwko
czyli początek drogi

Upalny dzień w mieście. Kiosk z piwem otoczony potrójną linią oblegających. Młody, może trzydziestoletni mężczyzna ma zajęte obydwie ręce. Jedna — podnosi z tryumfem zdobycz dwie butelki piwa; druga nie puszcza ani na chwilę dłoni chłopca, może dziesięcioletniego.

— Pijemy, synku, nie ma jak piwo na upał. Ale chłopiec się ociąga.

Młody ojciec patrzy z zakłopotaniem na stojących obok i uśmiechniętych ironicznie amatorów pełnego piwa.

— Pij, mówię ci, Heniu. Jeszcze od piwa nic się nikomu nie stało!

Ci, którym się jeszcze od piwa nic nie stało, wybuchają nagle śmiechem.

— Jak ci się podoba dzisiejsze wychowanie — mówi jeden z nich. — Dzieci ojca nie szanują, nie uważają. Stary swoje a szczeniak wie lepiej od niego co dobre...

Rozmówca odrywa na chwilę gulgoczącą szyjkę butelki od ust.

— Słyszysz co panowie mówią. Albo jesteś kumpel, albo wolisz ciepłe mleczko w barze?

Otoczenie rży z radości. Nie ma nic lepszego pod piwko jak taka rozmówka.

Chłopak waha się jeszcze, ma minę zaszczutego zajaca. Potem bierze od ojca butelkę, naśladowczym gestem przytyka do ust, krztusi się, ale pije.

— Ono smakuje, jeśli będziesz pił powoli. Prosisz jeszcze?

— Proszę, proszę, pełne jest dobre.

— A widzisz, ojciec zawsze lepiej wie. Prawda?

— Tak, tatko już się napiłem.

— Dobra jest, jutro sobie poprawimy. Cześć panowie!

Panowie doradcy patrzą z rozczuleniem na odchodzących, stawiających niezbyt pewne kroki. Chłopak trzyma się kurczowo ręki tego, któremu winien jest miłość, szacunek, posłuszeństwo. Nawet przed kioskiem z piwem.

Idą, trzymając się za ręce. Możnaby powiedzieć: idylla, ojciec czule prowadzi syna. Tak, prowadzi! Ale dokąd?...

Fr. Sw.

★

Nażłopał się piwa — zachorował w drodze

(Przysłowie szumerskie)

Jeśli śpisz w dzień — nie będziesz bogaty, jeśli pijesz dużo — nie będziesz sławny.

(Wietnamskie)

Ostrożniejsi i pilniejsi

Tysiące włókniarzy opuściło już nasze miasto. Urlopują, łowią ryby, pływają, polują na „kociaki", a my — redaktorzy — pragniemy powiedzieć kilka słów o tym, jak nam się włókniarze spisywali podczas pracy.

Otóż wcale nieźle. Przede wszystkim myślą z coraz większym skutkiem. 35 badanych zakładów pracy zgłosiło w roku 1961 — 598 wniosków racjonalizatorskich, których realizacja przyniosła około 10 milionów złotych, ubiegłego roku te same zakłady zgłosiły już 681 wniosków, a czysty zysk wynosił 18 milionów złotych. Wynika z tego, że myślenie w dalszym ciągu ma kolosalną przyszłość.

Są także znacznie ostrożniejsi. Liczba wypadków przy pracy wynosiła w roku 1950 przeszło 9.000, w roku 1961 spadła do 7.500. Zapewne nie bez znaczenia jest tu fakt zwiększenia wydatków na higienę i bezpieczeństwo pracy (40 milionów złotych w roku 1955 i 337,9 milionów złotych w roku 1961)

Są też znacznie pilniejsi. Liczba straconych bezpowrotnie godzin pracy wynosiła w 1950 r. 266.450, to bardzo duża liczba. Ale już w roku 1961 zmalała do 168.635, czyli o ponad 90 tysięcy. Mniej tedy mamy spóźnialskich i wagarowiczów w przemyśle lekkim. Jest to zresztą rezultat nie tylko wzrostu dyscypliny, ale również i poprawy warunków życiowych, co szczególnie dotyczy włókniarek. Wystarczy zestawić cyfry: 140 żłobków w roku 1950 i 170 żłobków w roku 1961, a dalej kiedyś 124 przedszkola, a teraz 173, kiedyś 60 ośrodków kolonijnych, obecnie 143, kiedyś, to znaczy w 1950 roku — 256 przychodni lekarskich, obecnie — 335.

Osiedle kosmonautów

Niebawem Prezydium Rady Narodowej m. Łodzi rozpatrzy wniosek o nazwanie jednej z ulic im. Walentyny Tierieszkowej. Pomysł sam w sobie dobry, ale znając niefortunne posunięcia przy likwidowaniu starych, opartych o tradycje nazw wołamy wielkim głosem:

„Ulica Wali Tierieszkowej niech zostanie któraś z nowych ulic w sąsiedztwie ronda Titowa i ulicy Gagarina. W ogóle ulicom tego rejonu proponujemy dawać nazwy z dziedziny kosmonautyki. Całe osiedle można by wreszcie nazwać Osiedlem Kosmonautów".

Chyba nikogo nie trzeba przekonywać jak takie rozwiązanie ułatwi życie mieszkańcom nowych bloków i wszystkim tym, którzy ich odwiedzają. Każdy by wiedział, że ulice o nazwach zwiazanych z lotami kosmicznymi są w rejonie ronda Titowa. Myślimy, że jakiś system w dziedzinie nazewnictwa ulic bardzo by się nam przydał.

J. W.

Symbol czasu

W hollu rektoratu Akademii Medycznej na dość eksponowanym miejscu stoją dwie gabloty.

Plansza w pierwszej z nich głosi: „Elektrownia Łódzka wykonała plan 6-letni przed terminem. Energią uzyskaną z nadprodukcji można oświetlić dwa mln. izb w ciągu roku".

Plansza w drugiej gablocie: „Zakłady Gazownictwa Okręgu Łódzkiego, Gazownia Łódzka — wzrost akumulacji w latach 1949—55 (dowiadujemy się z wykresu, że akumulacja od 100 wzrosła do 292 w roku 1955)".

Domyślamy się, że nie chodzi tu o samą treść plansz, w założeniu „wystawców" mają być one prawdopodobnie symbolem tempa, w jakim współczesne życie docierа w mury zakładów naukowych.

Dla ścisłości należy zaznaczyć, że wisząca obok gablota Państwowych Wydawnictw Lekarskich — jest pusta

SZANOWNY PANIE REDAKTORZE!

W numerze 26 „Odgłosów", w artykule moim pt. „Niezwykłe dzieje Joanny Żubr" uległo zniekształceniu zdanie, w którym ustosunkowuję się do publikacji Jerzego Łojka. Zdanie to powinno brzmieć: „Z pracy skądinąd bardzo ciekawej, ale w pewnych punktach polemicznej...".

Z wyrazami poważania

TADEUSZ SZEWERA

CO w terenie?

4 lipca zmarł założyciel i kierownik słynnej Kapeli Ludowej — ADAM RADZYMIŃSKI z Dobrzelina, pow. Kutno. Przez ponad 30 lat żadne huczne wesele, chrzciny czy wiejska zabawa nie mogła się obejść bez Radzymińskiego i jego kapeli. Jak Radzymiński zagrał, nikt w miejscu nie ustał! Sława jego znakomitego zespołu, reprezentującego najczystsze, często już zapomniane tradycje ludowej muzyki obrzędowej regionu łowickiego dotarła nawet poza granice naszego kraju. Na Międzynarodowym Festiwalu Amatorskich Zespołów Artystycznych w Llangollen (Anglia) kapela zdobyła I miejsce. Adam Radzymiński był zapamiętałym „łowcą" starych wiejskich melodii i piosenek, których sam znał chyba kilkaset, a które były do końca jego wielkim umiłowaniem. Województwo łódzkie straciło w nim niestrudzonego krzewiciela kultury ludowej.

■

Korzystając z pięknego lata, Zarząd Powiatowy ZMW w Łodzi zorganizował w Wiśniowej Górze rodzaj „wczasokursu" (co za słowo!) dla działaczy kulturalnych wsi pow. łódzkiego, bełchatowskiego i piotrkowskiego. Na trzech czterodniowych turnusach młodzi aktywiści dokonają podsumowania dotychczasowej sytuacji w dziedzinie rozwoju życia kulturalnego na swoim terenie oraz omówią program działania w następnym sezonie. Pomysł jest godny uwagi, tym bardziej, że i w innych powiatach jest o czym porozmawiać, gdy idzie o sprawy kulturalne na wsi.

Redaguje Zespół — Wydawca: „Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka" — Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79
Warunki prenumeraty: miesięcznie zł 4; kwartalnie zł 12.
Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. — Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch"— z zaznaczeniem: na „Odgłosy".
Druk: RSW „Prasa", Łódź, Żwirki 17.
Zam. 2192 VII 63. K-6